

Prenumerata w Warszawie:

Rocznie Rs. 7 kop. —
 Półrocznie „ 3 „ 50
 Kwartalnie „ 1 „ 75
 Miesięcznie „ — „ 60

Za odnośnienie do domu
 dopłaca się kop. 5 mies.

Za zmianę adresu dopłaca
 się kop. 20.

Cena pojedynczego nu-
 meru bez dodatku k. 20.

Prenumerata na Prowincyi
i w Cesarstwie:

Rocznie Rs. 9 kop. —
 Półrocznie „ 4 „ 50
 Kwartalnie „ 2 „ 25

Za Granicą:

Rocznie . . . 12 guld.—18 m.
 Półrocznie . 6 „ 9 „

Ogłoszenia przyjmuje kan-
 tor Redakcyi po kop. 10 za
 wiersz petitowy lub za je-
 go miejsce. Reklamy po
 kop. 25.

GŁOS

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNO-POLITYCZNY.

Wychodzi co Sobota.

REDAKCYJA i ADMINISTRACYJA
 WARECKA Nr. 9.

Co kwartał dodaje się bezpłatnie jeden
 zeszyt dzieł Spencera.

TREŚĆ: I. Niebezpieczne tryumfy, przez J. L. P.—II. Wiedza i pesymizm, przez S. K. — III. Filantropija w Londynie, przez A. P. Ordynskiego. — IV. Wybór małoszkolnych ludowych pieśni, przez Iwana Franka. — V. Bez obłudy, przez Maryjana Bohusza. — VI. Głosy. — VII. Z obcego świata, przez J. H. Siemienieckiego. — VIII. Korespondencyje: z Mińska, przez Stanisława Wiśnię.—Z Cieszyna, przez Gazdę.—IX. Przegląd społeczny.—X. Przegląd polityczny.—XI. Kronika literacka.—XII. Kronika powszechna.—XIII. Ogłoszenia.—XIV. Odcinek: Zemsta. Legenda, przez Brolisa.

Numer dzisiejszy zawiera stro-
 nic czternaście.

Niebezpieczne tryumfy.

Z powodu rezultatu wyborów do parlamen-
 tu w Poznańskim i Prusach, oraz sprawoz-
 dania komisji kolonizacyjnej za rok 1889 za-
 czynają tu i owdzie rozbrzmiewać przygryw-
 ki do tryumfalnego hymnu na cześć tej po-
 lityki, jaką prowadzi Koło polskie w Berli-
 nie i popierające go stronnictwo szlacheckie.
 Istotnie rezultat wyborów przeszedł oczeki-
 wania, zamiast bowiem 13 posłów powołano
 16, z tych 10 w Księstwie, a 6 w Prusach
 Zachodnich. Oprócz tego w Warmii i na
 Szląsku po raz pierwszy postawiono dwie
 kandydatury polskie, które zgromadziły do-
 syć liczną mniejszość. Wreszcie w dwóch o-
 kręgach w Poznańskim i jednym w Prusach
 mieli polacy przy głosowaniu dosyć pewne
 widoki zwycięstwa. Jako manifestacja po-
 lityczna, jako odpowiedź legalna na politykę
 prześladowczą rządu pruskiego, taki rezultat
 wyborów poniekąd wystarcza. Ale nie nale-
 ży przeceniać jego doniosłości, nie należy wy-
 snuwać ztąd wniosków o „zmeźnieniu” żywio-
 łu polskiego pod wpływem represyi. Tryumf
 wyborczy może być zupełnie przypadkowym,
 bo wielu Niemców, niezadowolonych z poli-
 tyki rządu, wstrzymywało się obecnie od gło-
 sowania, wielu znowu głosowało za kandy-
 datami opozycyjnymi, bez względu do jakiej
 partyi ci należeli, jeżeli własnych, odpowied-
 nych kandydatów w danym okręgu nie było.
 W taki sposób np. w wielu okręgach postę-
 powali demokraci socyjalni, zwłaszcza przy
 powtórnym głosowaniu. Polacy zaś z gor-
 liwością wzmożoną stanęli do głosowania.

Na Szląsku, oprócz Wrocławia, gdzie wi-
 doków zwycięstwa nie było, nie odważono się
 wystąpić z kandydaturami stronnictwa naro-
 dowego, a popierano prawie wszędzie stron-
 nictwo katolickie. Ale teraz właśnie, wśród
 ludności robotniczej Górnego Szląska znalazło
 centrum niebezpiecznego współzawodnika—
 demokratów socyjalnych. Pierwszy ich wy-

stęp był bardzo zręcznym, użyli bowiem has-
 ła, trafiającego do przekonania większości.
 Hasłem tem wyborczem było żądanie pow-
 strzymania napływu robotników obcych, to
 jest robotników polskich z Królestwa i Gali-
 cyi. Co prawda, nie bardzo to odpowiada
 ideałowi braterstwa ludów, międzynarodowej
 solidarności pracowników, ale robotnikom szlą-
 skim, którzy na wiecu stawili podobną pro-
 pozycję, pomimo oporu ze strony przywód-
 ców politycznych—trafia to do przekonania.
 Zresztą żądania takiego nie można utożsamiać
 z edyktami banicyjnymi, nie ma w niem bo-
 wiem pobudek narodowo-politycznych, jest to
 doraźny chociaż może nie zbyt trafnie do-
 brany, ale zupełnie uprawniony sposób obro-
 ny klasy robotniczej od współzawodnictwa,
 obniżającego płacę zarobną do poziomu, nie
 zapewniającego nawet niezbędnych środków
 utrzymania. Polacy na Szląsku własnego
 stronnictwa stworzyć dotąd nie umieli, do o-
 statnich czasów wysługiwali się katolikom ze
 szkodą interesów narodowych. Zrozumiano
 to zapóźno. Dzisiaj bodaj, że już przeszła
 chwila, właściwa dla wystąpienia stronnictwa
 narodowego, o ile nie będzie ono stronni-
 ctwem robotniczym polskim. Rozumie się, nie
 podobna myśleć, żeby inicjatywa czegoś po-
 dobniejszego wyszła od naszych matadorów po-
 litycznych. W blizkiej przyszłości Szląsk więc
 stać się musi widownią zaciętej walki między
 stronnictwem socyjalno-demokratycznym i ka-
 tolickim, polacy zaś znajdują się, może nawet sta-
 nowić będą większość w szeregach obu partyj,
 nie mając sami przez się żadnego znaczenia. Ta
 nieunikniona prawie perspektywa rozbicia ży-
 wiołu narodowego na Szląsku, uwydatniona
 teraz szczególnie, obniża mocno wartość try-
 umfów wyborczych...

Komisja kolonizacyjna okazała się istot-
 nie przedsiębiorstwem chybionem, ale od po-
 czątku nikt nie mówił o niebezpieczeństwie jej
 działania pod względem ekonomicznym. Wia-
 domem było, że rząd pruski płacić będzie za
 ziemię drogo a na osadzenie i zagospodaro-
 wanie kolonistów wyda spore sumy. W r.
 1889 komisja zakupiła 9 majątków więk-
 szych, obszaru 4801 hektarów i 4 gospodar-
 stwa chłopskie—38 hektarów. Wogóle zaś
 od 1886 r. nabył rząd na kolonizację 70 ma-

jątków rycerskich (67 od polaków, 3 od
 Niemców) obszaru 40,898 hektarów, za cenę
 24,281,406 marek i 30 gospodarstw włościań-
 skich, obszaru 1326 hektarów, za 895,184
 marek.

Z obszaru tego rozkolonizowano, tj. wła-
 ściwie pomierzono i przeznaczono na koloni-
 zację 18,431 hektarów, po odtrąceniu zaś
 gruntów oddanych na użytek publiczny i nie-
 użytków—15,380. Obszar ten podzielono na
 861 gospodarstw, z tych 34 folwarcznych i
 98 dużych włościańskich, wystawiono zaś na
 sprzedaż 754. Nabywców zgłosiło się zaled-
 wie 604, sprzedano zaś 526 osad, obszaru
 9,971 hektarów. Dotąd więc komisja kolo-
 nizacyjna zdołała zużytkować dla swych ce-
 lów mniej, niż 1/4 nabytych posiadłości. Resz-
 ta przedstawia jakby martwy kapitał, bo do-
 chody wystarczają zaledwie na pokrycie kosz-
 tów administracji. Koloniści z Niemiec spie-
 szyli nie zbyt chętnie, z 526 nabywców osad
 264 pochodzi z Poznańskiego lub Prus Za-
 chodnich. Ludność robocza, wynajęta do po-
 mocy przez kolonistów, w połowie składa się
 z polaków.

Dane te wykazują rzeczywiście, że koloni-
 zacja, jako przedsiębiorstwo, jest interesem
 lichym—ale tylko tyle. Słuszną uwagę robi
 wszakże jeden z korespondentów, że jeżeli re-
 zultat kolonizacji przynosi jej niewielkie *ac-*
tivum, to dla polskiej własności ziemskiej, a
 dodajmy, i dla polskiej narodowości—jest on
 dotkliwym *passivum*. Niebezpieczeństwo kolo-
 nizacji nie znika, okazuje się tylko, że bę-
 dzie ona drożej kosztowała Niemców, aniżeli
 sądzono. Ze 100-milijonowego funduszu ko-
 misja może nabyć 160—170,000 hektarów,
 na obszarze zaś tym osadzi, według dotych-
 czasowej normy, z górą 8,000 rodzin, spłaty
 zaś, choćby napływały powoli dadzą możliwość
 rozszerzenia osadnictwa. Tylko dzięki wiel-
 kiej płodności ludność polska utrzymuje rów-
 nowagę liczebną, ale emigracja polska roś-
 nie w większym stosunku, aniżeli niemiecka,
 oprócz tego dziesiątki tysięcy polaków wę-
 drują czasowo za zarobkiem do Niemiec. Na-
 tomiast, wprowadzie drobnymi strumykami, są-
 czy się jednak do ziem polskich imigracja
 niemiecka i zyskuje punkt oparcia—własność
 ziemską.

Trudno spodziewać się, że koszta osadnictwa odstraszą Niemców. Stronnictwa opozycyjne nic w zasadzie przeciw kolonizacji nie mają, żądają tylko innego jej prowadzenia. Nie tylko wolnomyślni, ale nawet katolicy z centrum chętnie dadzą rządowi potrzebne fundusze, byle tylko przy kolonizacji uwzględniono ich specjalne widoki. Dla narodowości polskiej zaś wszystko to jedno, czy osadnikami będą przeważnie protestanci, czy katolicy-Niemcy.

Po wyborach, które były całym szeregiem porażek dla stronnictwa kartelowego, tj. zachowawców i narodowo-liberalnych, rozeszła się pogłoska, że przyszła większość rządowa ma się składać z zachowawców, katolików (centrum) i Polaków. Kombinacja ta należy do najprawdopodobniejszych, w danych warunkach. To też dzienniki donoszą już o zamiarze żądania cofnięcia wszystkich praw wyjątkowych przeciw katolikom, wydanych od chwili rozpoczęcia kulturkampfu. Otóż, nasuwa się pytanie: jaki w tem wszystkim brać mogą udział Polacy i oraz, czy i co na kombinacji takiej zyskują. Rozumie się, o zasadniczym popieraniu rządu niemieckiego przez Polaków chyba mowy nie ma, chodzi jedynie o jakiś układ czasowy na gruncie parlamentarnym. Układ taki wtedy tylko może być ze stanowiska narodowego godziwym i korzystnym, jeżeli stronnictwo, które go przeprowadza, ma świadomość swych dążeń, jeżeli nie schodzi w zasadzie z gruntu opozycyjnego, gotowe w każdej chwili do energicznego wystąpienia „za” lub „przeciw”. Takim stronnictwem są np. w parlamencie angielskim Irlandczycy, którzy naprzemian popierali to zachowawczą, to liberalną partycję, w miarę potrzeby, nie wiążąc się ściśle z żadną. Na taką politykę nie zdobędą się poznańscy; jak dotychczas nie umieją użyć jej Galicyjanie, zostawszy stronnictwem, popierającym rząd, będą tylko narzędziem w jego

ręku. Zapewne, nie staną się „rządowcami” w ścisłym znaczeniu tego wyrazu, ale wzajemian za poparcie projektów ministerjalnych nie potrafią wytargować żadnych donioślejszych ustępstw. Nawet takich łupów do domu nie przyniosą, jakie nieraz wlekli stańcy, bo rząd niemiecki nie tak bardzo znowu dba o zjednanie sobie ludności polskiej, tym bardziej, że uważa ją za niezdolną do energicznej opozycji. Wątpić nawet można, czy zniesiono by moc ustaw wyjątkowych i skasowano np. komisję kolonizacyjną, co najwyżej nakazano, by tylko środki anty-polskie łagodniej stosować. To zaś byłoby raczej szkodliwym, osłabiło by bowiem budzącą się zaledwie energią odporną. Prawdziwe ustępstwa otrzymaliby katolicy, co dla polityków poznańskich jest bodaj ważniejszym aniżeli ustępstwa dla polskości. Ale stronnictwo katolickie, złożone z najróżnorodniejszych żywiołów, rozpadło by się po zaniechaniu opozycji, więc na jego opiekę nie należało by liczyć.

Drobne ulgi nawet, w ciężkim położeniu, w jakim znajdują się Polacy w państwie niemieckim, miały by pewne znaczenie. Ale czy korzyść, wypływająca z tych ulg, opłacałaby prawdopodobnie szkody...

W ostatnich czasach dopiero poznańscy pojmuwać zaczęli, że między Polakami i Niemcami nie może być polubownego załatwienia sprawy, nie może być trwałego kompromisu, że stosunek ich wzajemny—to po prostu walka dwóch plemion o jedno i to samo terytorjum, dla obu, chociaż w niejednakowym stopniu, potrzebne. Niemcy oddawna o tem wiedzą i różnią się w stosunku do Polaków tem tylko, że jedni chcą łagodnie, drudzy przymusowo sąsiadów swych germanizować. Jest to spór o taktykę, lecz nie o zasadę. Innych zdań między politykami niemieckimi nie ma. My tylko wierzymy, że Niemcy poglądy swe zmieniają i wrócą do „ideałów humanitar-

nych”, jak „gdyby „wynarodowienie dobrowolne” za pomocą łagodnej zachęty—humanitarności przeczyło. Jakieś układy z rządem niemieckim mogą przebrzmiałym bredniom o pojednaniu z Niemcami—na humanitarnej pierzynie—zapewnić znowu kredyt i zwrócić społeczeństwo poznańskie z drogi zasadniczego oporu, po której dopiero stawiać zaczęło lekliwie pierwsze kroki.

J. L. P.

Wiedza i pesymizm.

Ostatniemi czasy zaczyna się upowszechniać mniemanie, że „nadmiar” wiedzy powoduje utratę wiary w ideały i staje się jedną z przyczyn apatii, zniechęcenia do życia, rozczarowania—słowem tego chorobliwego stanu ducha, który pesymizmem zowiemy. Ograniczymy się tutaj do zwrócenia uwagi czytelnika na kilka zasadniczych punktów tej kwestyi. Sądzymy, że ważność jasnego rozumienia stosunku wiedzy do pesymizmu, nadto, świeżo wydany u nas odczyt d-ra Deschamps'a o neurozach i pesymizmie upoważniają nas dostatecznie do zastanowienia się nad tym przedmiotem.

Faktem jest, że wiedza społeczna, zgłębiając i analizując wszystkie sfery myśli ludzkiej, destrukcyjnie oddziaływa na te dawniejsze ideały, których budowa nie odpowiada duchowi społecznej myśli. Najwznioślejsze nawet gmachy starożytnej kultury rozsypują się w gruzy przez zetknięcie się z atmosferą realizmu i krytyki. Lecz fakt ten bynajmniej nie dowodzi, jak to niektórzy utrzymują, że nauka społeczna pozbawia ludzi ideałów, niszczy je, nie pozostawiając wzamian. Dziwić się tylko trzeba, jak podobne zdania mogą wygłaszać ludzie poważnie myślący, a jednak i dr. Deschamps zdaje się skłaniać do przytoczonego przezeń poglądu Caro, że „dusza ludzka konieczne wymaga przeżycia absolutu i wiary w coś tajemniczego, przewyższającego wszelką wiedzę, słowem czegoś, co nie ginie”.

Mistycyzm, w jakiegokolwiek bądź formie objawiający się w społeczeństwach, uważać należy jako konieczną atrybucję umysłowości tych społeczeństw; lecz owa konieczność ideałów misty-

ZEMSTA.

(Legendy).

I.

Smutno być złamaną sprężyną! Kiedyś miało się pierwszeństwo w mechanizmie, od twej woli zależało poruszyć np. kurkiem i zniwieczyć życie, lub, siedząc w zamku, odmykać i zamykać podług upodobania: szkoły, świątynie, biblioteki, więzienia... W tem — jedna kropelka wilgoci, a znikoma rdza zaczyna wpijać się w twe łono coraz uporczywiej, coraz zacięciej, i w chwili, gdy marzysz o swej potędze—trach! i jesteś niczem.

Smutno być urzędnikiem spadłym z etatu. Lecz najsmutniej tobie, bita drogo, wlokąca się z Kowna do Rygil. Czy pamiętasz, staruszeko, dawne czasy, gdy przenosiłaś tysiące ładownych wozów? Pamiętasz, jak wierną byłaś współniczką ryzykownego portu, jak bogate dary wysyłałaś za morze?... Pamiętasz, jak za pot i znoje twych siermiężnych ziomków brałaś z cudzych krajów fatalaszki do upiększania pałaców?... Zgrzeszyłaś, oj ciężko! Zajrzyj do głębi twego żwirowego sumienia, uderz się w pierś kamieniem, a zrozumiesz, dla czego dziś postradałaś twe znaczenie, więc nie narzekaj, nie przeklinaj! Rezygnacyi, staruszeko, i pracy! Złamana sprężyna przy dobrej woli może być jeszcze zasuwką i

ochraniać łachmany biednej wdowy od nocnych rabusiów; urzędnik spadły z etatu może być nauczycielem i piastunem rodziny, i ty, bita drogo, możesz mieć jeszcze znaczenie dla twych ziomków, tylko, na litość, mniej błotnistych kałuży i wybojów! Dbale a czule prowadź chłopaka do szkoły, spracowanego kmiotka do cichej zagrody... Gdy zaś panicz mknie czwórka, by sprzedać ostatni zagon ojcowski—kark mu skręć!...

* * *

Tam gdzie bita droga łączy dwa bratnie narody, gdzie na wzór człowieka, co splata palce swych rąk—granica etnograficzna, pomiędzy wsie litewskie wsiska łotyszów, tuż przy gościńcu stoi okazały dworek Cięgno. Na szerokiej, jak okiem sięgnąć, równinie, widnieją tu i owdzie nieduże wsie. O parę staj od dworu, z litewskiej strony, tuli się przy strumyku miasteczko z maluczkim parafijalnym kościółkiem i dużą karczmą. Przed karczmą za gościńcem rozścielają się żyzne pola dworskie.

Przed laty, gdy o wozach Antychrysta w biednych wioskach ani słyszano, a bita droga miała wielką wziętość, pan Dobrowicz, rządca Cięgna, siedząc na ganku oficyny, bawił się ze swymi synami. Chcąc mieć o nim pojęcie, wyobraźmy sobie szeroką i grubą czworograniastą kolumnę, a na niej spłaszczoną kulę. Niech na kuli swawolny chłopak narysuje skrzywiony, guzowaty nos, okrągłe, z wystającymi źrenicami, oczy, wydatne szerokie usta, a będziemy mieli p. Dobrowicza. Chłopaków było dwóch: star-

szy miał lat dziesięć i był zupełnie podobny do ojca: oczy żarzyły się mu na łbie, jak dwa czarne brylanty. Młodszy — siedmioletni, był wysmukły i blady, a oczy, niby cząstki błękitnego, zamglonego nieba, patrzyły na świat z żalem i tęsknotą. Kto znał nieboszczkę p. Dobrowiczową, wiedział, że młodsze dziecko było do niej podobne. Rządca spoglądał na starszego syna, z dumą, na młodszego zaś z jakąś szczególną troskliwością, jak gdyby lękał się, by mu dziecko nie rozwiało się we mgle.

Chłopacy rozegrali się nie na żarty! z chichotem uczepili się poly ojca i ściągnęli go z ławki na ziemię. Poczem starszy usiadł mu na szerokiej piersi i, podskakując, naśladował konną jazdę; młodszy zaś, śmiejąc się do rozpuku, porwał go za długie wasy i ciągnąc z całej siły, jak lejce — wołał: „hu, kosiu, hull!” Dobrowicz zanosił się od śmiechu i rżał, jak źrebię. W otwartych jego ustach polyskiwały białe zęby i nadzwyczajnych rozmiarów kły.

W tej sielankowej grupie jeden tylko przedmiot naruszał harmonię: za pasem u Dobrowicza sterczała potężna nahajka — juźci, niedawno jeździł konno i zapomniał ją odrzucić... Na dziedzińcu ukazał się włościanin. Bojaźliwie, jak pies włoścza, szukający żeru, skradał się przed ganek. Na nędznym, wychudłym ciele wisiały strzępy łachmanów, w ręku miał podartą czapkę. Młodszy chłopak, zoczywszy zbliżającego się, szeroko rozwarł źrenice i zastygł. Pan Dobrowicz anać odgadł, co to znaczy: podniósł głowę, spoj-

cznych warunkuje się bynajmniej nie specyficzną jakąś własnością mózgu, tylko pewnym stanem umysłowości, przystosowanej do uprzedniego światopoglądu. Filozofia przyrody, jak to wykazały badania uczonych podróżników, nie koniecznie bierze za punkt wyjścia abstrakcyjne, gdyż są plemiona w Afryce i na wyspach australijskich, u których zdaje się przeważać indukcja, zasadzająca się na szczegółach realnych. Plemiona te, wbrew uśiłowaniom misyjónarzy, nie czują żadnej potrzeby wierzenia, w coś tajemniczego i przeczuciem absolutu wcale nie pomnażają „niepotrzebnych hipotez.” Zresztą mistycyzm jest tak samo filozofia przyrody, jak i najrealniejszy pozytywizm czy materjalizm; jak religija, tak i wiedza streszcza najwyższe ideały ludzkie, różnica polega tu tylko na samym procesie umysłowym. W pierwszym wypadku jest on dedukcyjnym, w drugim zaś—indukcyjnym, albo, ściśle rzecz biorąc, tak w pierwszym, jak i w drugim jest on indukcyjnym, gdyż do wszelkich pojęć ogólnych dochodzimy drogą indukcji; lecz do idei mistycznej dobiega myśl ludzka, że się tak wyrażę, w poskokach, pośpieszenie, nawet nie zaczepiając mnóstwa ogniw indukcyjnego łańcucha myśli, podczas gdy ideje naukowe rozwijają się z wolna, stopniowo i metodycznie, nie ignorując nic, cokolwiek ma związek z wysnuwającą się z poznanych faktów ideją. Jedną z głównych przyczyn takiej różnicy jest silniejszy wpływ uczuć w wypadku pierwszym. Mistycyzm potrzebuje wznieść się tylko do jednej ogólnej zasady, dajmy na to—do pojęcia bóstwa—drogą indukcyjną—aczkolwiek bardzo od naukowej daleką—a reszta pojęć, cała filozofia metafizyczna będzie rezultatem dedukcji. Ze względu więc chyba na przewagę dedukcji nad indukcją w powstawaniu ideałów mistycznych możemy je do plodów dedukcji zaliczyć.

Absolutyzm, jako uogólnienie abstrakcyjne czy to potęg kosmicznych, czy państwowych nie daje się w żaden sposób wyprowadzić prawidłowo drogą indukcyjnego myślenia, nie posiadamy bowiem nie takiego w świecie realnym, ani takich przedmiotów, ani zjawisk, o których pojęcie doprowadziłyby nas w swej integracji do idei absolutu. Posługiwanie się więc takimi hipotezami wylomaczyło można tylko chęcią, zapelnienia luk w indukcyjnym systemie filozoficznej myśli—abstrakcją, któraby luźne uogólnienia w zcałkowanej przedstawić mogła formie.

Ale, poznając prawa ze szczegółowych zjawisk i uogólniając je, nigdy nie przekraczając granic rzeczywistości, dochodzimy najzupełniej konsekwentnie i zgodnie z naturą rzeczy do poznania ideałów, nie z tajemniczością i mistycyzmem nie mających wspólnego—przeciwnie, wrogich wszystkiemu, co się nie daje bezpośrednio lub pośrednio umysłowi i uświadomić. Ideały takie, oczywiście, mogą być wytworem tylko wiedzy realnej, naprzód analitycznej; pragnienia, chęci, przeczucia miejsca tu nie mają.

Pojęcia, zdobyte nie drogą umiejętnego, ściślego badania rzeczy istniejących, lecz wysnute z abstrakcyjnych, z góry powziętych zasad, i usankcjonowane najwyższą chociażby powagą, nie mogą się ostać wobec krytyki naukowej, której analityczna potęga wszystko niszczy, cokolwiek barykaduje drogę postępu. Niweczy więc najwspanialsze rusztowania metafizyki, podkopuje wierzenia i obala z posad cały system społeczno-ekonomicznych ideałów, na abstrakcji zbudowanych. W tym więc tylko sensie przyznajemy, że nauka pozbawia człowieka ideałów, lecz winniśmy dodać—ideałów, wymyślonych przez niewiedomość ludzką, opartych na wywodzie o zbyt małej liczbie przesłanek oraz zbyt wyraźnie podległym paczącemu wpływowi uczuć; stawia atoli natomiast ideały poznane. Wyższość tych ostatnich polega na praktycznym ich znaczeniu, gdyż mogą być one w całej swej rozciągłości stopniowo stosowane w życiu, podczas gdy ideał mistyka pozostaje zawsze fetyszem, przed którym próżno duch ludzki się koczy i, obracając się w kole wiecznych złudzeń i nieiszczalnych nadziei, ani o krok jeden do swego bóstwa zbliżyć się nie może.

Czy będziemy zestawiali etykę teologiczną z etyką naukową, czy ideje liberalizmu z demokracją, z łatwością się przekonamy, po której stronie jest pierwiastek utylitarny i który z ideałów odpowiada realnym potrzebom ludzkim, a który te potrzeby tłumi i, ucinając skrzydła myśli, skraca do minimum wymarzone drogi do ideału. Mistycyzm z pewnością zawdzięcza w znacznej mierze upowszechnienie swe i utwalenie tej okoliczności, że drogi, jakie do osiągnięcia ideałów buduje, są tak krótkie i rozciągliwe, że się do sił każdej, najsłabszej nawet jednostki zastosować mogą, tak że tu nie środki do celów się stosują, lecz odwrotnie—cele do środków. Praktyki religijne przedstawiają właśnie to niezmiernie mnóstwo sposobów zadośćuczynienia

potrzebom dusz wiernych. Sposoby te, skutkiem swej przystępności, doznają największego uznania wśród mas i najdoskonalej zabezpieczają dusze od kar wiecznych, obiecując źródle łask i pociech. Czy się te pobożne nadzieje ziszczą, tego umysł mistyczny sprawdzać nie potrzebuje, zanadto jest przeświadczony o tem pod wpływem swoich zcementowanych, przez uczucie, choć niesystematycznie gromadzonych, dowodów; życie zresztą ziemskie jest tylko krótką chwilą wieczności, do której się przeniosłszy, ma doznać szczęścia—określonego z góry. Nie osiągnięcie samego szczęścia stanowi o wartości ideałów mistycznych, lecz tylko wiara w możliwość doznania tego szczęścia kiedykolwiek.

To samo da się powiedzieć też o innych ideałach, nie będących wynikiem indukcyjnego myślenia. Liberalizm np. w zupełności zadawała swych wyznawców nie ze względu na pożyteczność urządzeń osiągniętych z liberalnych ustrojów, lecz jedynie dla tego, że wierzą w dobroczynność z góry powziętych, abstrakcyjnych zasad liberalizmu.

Jeżeli tak jest, jeżeli zasady jakichkolwiek bądź wierzeń zadawałają ludzi nie swym praktycznym wpływem, lecz tylko wiarą w owe błogie skutki, których stwierdzenie leży poza obrębem wszelkiego wierzenia, to zrozumiałym jest ten optymizm i nieczem niezmacony spokój ducha, co tylu ludzi w błogiem far niente pogrąża. Cała filozofia metafizyczna w ten sposób jest zbudowaną, że dla analizy przyczyn i skutków, dla zwątpień miejsca w niej niema. Wiara w nieomylność zasad i niewzruszoność ideałów jest źródłem niewyczerpanych uciech, a nieustannie podniecana nadzieja osiągnięcia tych ideałów zapewnia ludziom spokój, swobodę ducha, wesołość, śmiałość—słowem, wytwarza takie własności charakteru, jakie w umysłowości urabiają grunt dla optymizmu. Na dnie zaś tego optymizmu spoczywa świat nie istniejący, lecz tylko, gwoli wierzeniom, mający istnieć.

Zupełnie inaczej ma się rzecz z ideałami, będącymi wynikiem myśli indukcyjnej, snującej uogólnienia ze szczegółowych, istniejących w rzeczywistości zjawisk. Ewolucjonizm naprzykład, czy utylitarizm, lub demokracja, rozpatrywane bądź jako sformułowania rozległych, uogólniających idei, bądź jako ideały, z jakimi w życiu mamy się liczyć i do nich czynności swe stosować, są w każdym razie ideałami, w których się drogą indukcji zcałkowały wszyst-

rzał, a gdy spostrzegł kmiecia, zerwał się i rzekł do chłopaków łagodnie:

— Idźcie do pokoju—zaraz przyjdę.

Starszy pobiegł ku drzwiom, młodszy stał jak zakłęty, tylko duże oczy napełniły się łzami, a usta wykrzywione drgały.

— Ja tu zostanę—szepnął stanowczo.

— Odejdź, Jacusiu, odejdź — mrucał rzadca prawie błagalnie.

— Ja tu zostanę!—powtórzyło dziecię z dziwnym uporem.

— Jasiu, prowadź Jacusia—zwrócił się rzadca do starszego syna, który stał w otwartych drzwiach.

Jasiek podbiegł i pociągnął brata za rękaw; Dobrowicz, głaskając dziecię, zlekka je popychał.

— Bawcie się, ja wkrótce przyjdę, muszę chwil kilka pogadać—mówił drżącym od niecierpliwości głosem, zamykając drzwi.

Odwrócił się, skinął na chłopca i gdy ten podchodził, okazało się na co Dobrowiczowi były potrzebne kły i okrągłe oczy: w jednej chwili twarz stała się zwierzęcą; twarda ręka machinalnie legła na rękojeści nahajki.

— Niech będzie pochwalony Je... zaczął chłopiec lecz rzadca przerwał.

— Na wieki—psie—na wieki... Jagódki łotry zajadać... nie pracować...

— Wielmożny panie—wiadomo baba: rozum krótki — żnie koło dyrwanu, a tu poziomki... uszczypnęła...

— Uszczypnęła—łotry! Na pańszczyznę chodzicie jagódki zajadać—rozumiesz psiel dziesięć dni daremszczyzny—rozumiesz?... — Wielmożny panie baba leży, jak „plast"... i pańszczyznę trudno będzie odrobić — szeptał chłopiec. Lecz nim dokończył, nahajka świsnęła w powietrzu, rozległy się głucho uderzenia—chłop jęknął... w teże chwili za oknem w pokoju zawtórował mu głośny płacz Jacka. Dobrowicz zacisnął zęby i opuścił rękę.

— Precz psie z twem wyciem — mruknął—dziesięć dni daremszczyzny—pamiętaj! Chłop powłókł się. Rządca włożył za pas nahajkę, a gdy otworzył drzwi, twarz miał spokojną, jak gdyby nic się nie stało.

— Pójdźcie, tu dzieci—zawołał łagodnie i gdy przyszły, porwał Jacka na ręce, głaskał go, tulił i cieszył.

Tygrys, gdy igra z swemi pisklety, staje się czułym i pieszczotliwym: pełza, mruczy, chowa pazury, a gdy małe gryzą mu uszy, ostrożnie szczyrzy straszne kły i na znak zadowolenia uderza o ziemię ogonem; lecz niech biedna antylopa, w tej chwili zbliży się do legowiska: kły zgrzytną, okrągłe oko błysnie — jeden skok i ofiara broczy we krwi... Pan Dobrowicz był tygrysem.

— Niech będzie pochwalony Je... zaczął chłopiec lecz rzadca przerwał.

— Na wieki—psie—na wieki... Jagódki łotry zajadać... nie pracować...

— Wielmożny panie—wiadomo baba: rozum krótki — żnie koło dyrwanu, a tu poziomki... uszczypnęła...

— Na wieki—psie—na wieki... Jagódki łotry zajadać... nie pracować...

— Wielmożny panie—wiadomo baba: rozum krótki — żnie koło dyrwanu, a tu poziomki... uszczypnęła...

— A cóż to, nie wchodzisz, Wincenty, co nowego?

Stary obejrzał się i westchnął.

— Smutne nowiny! Coraz to gorzej; póki jeszcze żyła—świeć jej Panie—ekonomowa i tak i owak bywało, czasem i wyprosi kogoś; a teraz nic nie będzie, wszystkich zgnębi.

— Czy znowu coś się stało?...

— Janowa umiera. Była wczora na pańszczyźnie, żnie na dyrwanie, a tu poziomki... kobieta zlakomiała się i zerwała parę. Trzebaż nieszczęścia, zobaczył! Jak krzyknie: a ty, gądzino, czas tracić, jagódki tobie! I zbił, jak nieboskie stworzenie. Wieczorem i Janowi dostało się... Taki zamożny był dom; Zdarł, złupił... i do grobu powpędza...

Proboszcz westchnął.

— Po mszy pojedę; trzeba wyspowiadać kobietę.

— Trzeba, to trzeba... Niemało człek nagrzeszy przez tego Heroda. Ot i ja sam nieraz, modlisz się i pomyślisz: przebacz Panie Boże, ale gdybys go wziął do swej chwały, nieby nie szkodziło...

Proboszcz przerwał.

— Nie do nas sąd należy; możemy błagać Boga o nawrócenie grzesznych, złorzeczyć nie mamy prawa. Chrystus za nas grzesznych więcej cierpiał.

— Święta to prawda!... a od pana nic nie slychać?...

Ksiądz spochmurniał.

kie znane nam odnośnie zjawiska. Sam sposób metodyczny syntetycznego tworzenia się idei naukowych wskazuje już nam na trudność ich praktycznego stosowania, gdyż każde stadium syntezy przedstawia niejako grunt, z którego się idea wyłania i na którym tylko może być stosowana. Jeżeli droga indukcji jest długa, a ilość szczebli, po których się wznosi, wielką, to i odwrotnie droga—zstępowania od zasad do zjawisk szczególnych nie może być mniejszą, najczęściej nawet bywa większą skutkiem nieograniczonej ilości zjawisk, nieujętych w indukcji, a podpadających stosowaniu dedukcji.

Trudność zadośćuczynienia ideałom pozytywnym prócz tego niesłuchanie się wzmaga skutkiem niezmierniejszej przepaści, oddzielającej życie społeczne i pojęcia o niem od tych ideałów. Nieodpowiedniość w rozwoju życia społecznego i wiedzy jest charakterystyczną cechą cywilizacji. Formy życia nigdy nie odpowiadały spójniejszemu w danej epoce ideałom, które nie były wytworem uświadomionych potrzeb grupy społecznej, lecz krytyki wznoszących się ponad masy umysłów, mało zresztą z walką życiową mających wspólnego. Pojęcia naukowe zawsze wystrzeliwały wysoko ponad ogólny poziom wiedzy, tym więcej się wznosząc nad istniejące stosunki życiowe, im bardziej się ludzkość posuwała naprzód. Zastosowania wiedzy zawsze się opóźniały i to opóźniały w nader progresywnych zwrotach w stosunku do jej postępu. Obecnie różnice pomiędzy istniejącymi formami życia a nauką tak się jaskrawo zaznaczają, że je wprost, jako kontrasty, uważamy. Ta sprzeczność między życiem a ideałem przedstawia właśnie nieprzyparte trudności w praktycznym ich stosowaniu. Trudność ową zrozumiemy w zupełności, zważywszy naprzód, jak powierzchownie i subiektywnie pojmują życie ci, którzy o wzniosłych prawią ideałach, a powtóre—jak mało jest ludzi rzeczywiście znających głoszone przez się idee, jak niewielu takich, co na podstawie zanalizowanego materiału faktycznego samodzielnie doszli drogą możebnie ścisłej syntezy do poznania ogólnych praw bytu i zasad życia.

Tworząc pewien ideał drogą indukcji, uogólniamy, jak wiadomo, *istniejące* a znane nam szczegóły, których pierwiastkowym źródłem jest w każdym razie *spółczesny* nam świat. Analizujemy więc zjawiska społeczne i od nich dopiero wnosimy się do śmiałych uogólnień i zasad, które lubo dziś są w sprzeczności z życiem,

w przyszłości jednak mają je regulować i powszechną zaprowadzić harmonię. Przepaść, dzieląca dziś życie od ideału, ma z czasem całkiem zniknąć; zapanuje natomiast najściślejsza pomiędzy nimi zależność. Jeżeli jednak takowa zależność ma kiedykolwiek nastąpić, to czyż możemy choć na chwilę przypuścić, że jej dziś wcale nie ma? Czy możemy przypuścić, że nas nie z ideałami pozytywnej wiedzy nie łączy? Jeżeli przekonani jesteśmy, że życie społeczne podlega stale ewolucji, że każda epoka historyczna jest tylko momentem w rozwoju społecznym, to i doba dzisiejsza jest tą chwilą ogólnoludzkiego postępu, która z poprzednimi i nastąpić mającymi wytworzy idealizowaną dziś przyszłość.

Ponieważ więc idealna (według naszych pojęć) przyszłość może się tylko z terażniejszości wyłonić, nie możemy przeto nie uznać związku i przyczynowej, acz niesłuchanie pośredniej zależności między pierwszą a ostatnią. Ideał zatem, drogą umiejętnego badania zdobyty, w takim się do istniejących form bytu znajduje stosunku, jak pewna przyszłości epoka do doby dzisiejszej.

Przy takim pojmowaniu rzeczy, cóż znaczy żyć zgodnie z ideałem?—ideję w czyn wcielić? Znaczy to zbliżyć chwilę idealnej przyszłości, znaczy wprowadzać w życie takie formy bytu, które najprędzej i najlepiej doprowadzą nas do stanu doskonałości. Zauważmy jednak, że stosowanie w życiu ideałów nie jest bynajmniej wlewaniem nowego wina w miechy stare, jak tego chcą marzyciele i trębacze z pod nowatorskiego sztandaru. Metamorfozy dobre są w bajce, ale w świecie materii i siły, gdzie każdy ruch jest skutkiem poprzedniego i przyczyną następnego ruchu, gdzie każde stadium rozwoju jest dalszym różniczkowaniem lub zcałkowaniem poprzedzających je zjawisk,— w tym świecie—metamorfozy i wszelkie kataklizmy, w poprzednim tego słowa znaczeniu, miejsca nie mają. Istnieje tylko rozwój, chociaż formy jego nieraz bywają rażące, zdumiewające, niespodziane i wstrząsające—dla tych, co w ewolucji nie przyjmują udziału. Wcielanie przeto ideałów odbywać się może li tylko drogą stopniowego przetwarzania istniejących form bytu na lepsze, przyczem genetyczny porządek rozwoju tych form zachowanym być winien, albowiem nie ma zmian bez ciągłej, nieprzerwanej przyczynowości.

Wiedząc, że ideały pozytywne nie są z góry powziętą abstrakcją, lecz indukcyjnie wyprodukowanymi uogólnieniami z istniejących a znanych nam zjawisk; wiedząc, że wszystkie ruchy społeczne stanowią pewne stopnie rozwoju, odbywającego się według stałych praw przyczynowości, możemy graficznie niemal przedstawić szematyczny stosunek między ideałem a życiem. Nie o to nam jednak idzie. Chcieliśmy tylko zaznaczyć, że stosowanie ideałów w życiu zależy przeważnie: 1) od znajomości samego życia i świadomości ideałów, 2) od umiejętności przetwarzania czyli raczej rozwijania form bytu według planu, odpowiadającego genetycznej budowie naszej idei.

Zauważmy nadto, że rozwój idei—a mówimy tu o rozwoju drogą indukcji—jest psychicznym odtworzeniem tej ewolucji, która odbywa się, lub ma się odbywać w życiu. Lecz w takim razie stosunek wzajemny idei do życia jeszcze bardziej się uwidocznia, bo każdemu ze stopni, po których się idea w rozwoju swym wznosi, odpowiada pewne stadium ewolucji społecznej, bądź dokonanej, bądź też, tylko według pojęć naszych dokonać się mającej. Ponieważ ideałem nazywamy w danym razie odtworzenie psychiczne tego stanu życia, który według pojęć naszych ma być następstwem ewolucji; cały zaś system indukcyjnych myśli, które nas do poznania tego ideału doprowadziły, uważamy jako proces myślowy mającego się odbyć rozwoju, to zrozumiałem jest, że stosowanie ideału wymaga cofnięcia się po indukcyjnej drabinie myśli do tych jej szczebli, które odpowiadają społecznemu ustrojowi. Sama zaś praca streszczać się będzie w rozwijaniu naprzód niższych, a potem coraz wyższych form życia w jego ewolucji dziejowej.

To, cośmy powiedzieli, zdaje się już samo przez się określać stosunek nauki do pesymizmu. Jeżeli wiedza społeczna poddaje krytyce wszystkie najdrażliwsze nawet kwestyje życiowe, jeżeli w oczach myślącego człowieka dyskredytuje powagę i świętość przeżytych form bytu; jeżeli wobec krytyki myśli i jej pozytywnych wymagań pierzchają złudzenia moralne, społeczne i polityczne, a zamiast mar i fetyzów przeszłości nowe powstają bóstwa—nowe słońca, co mają przyszłości oświecać drogę,—to czyż w tym fakcie spoczywa źródło pesymizmu? Czy zerwanie z kultem przeszłości zniechęca ludzi do życia, czy zmiana dawniejszych ideałów na nowe? Lub czyżby wiedza tak czarodziejską moc po-

— At, młokos!... Póki mu Dobrowicz wysłał pieniądze będzie siedział za granicą; pisałem, odpowiedział, że mieszam się nie w swoje. Zwykle młokos...

Chłop opuścił głowę.

Tego dnia na kazaniu pleban był jakiś niezwykły. Gdy mówił o maluczkich, ó pokrzywdzonych głos mu drżał od wzruszenia; gdy zaś jął kazać o hardem sumieniu, o karach doczesnych i wiecznych, każde słowo padało, jak piorun. Młode szlachcianki z okolicy na głos płakały, a Dobrowicz bił się w pierś, aż echo rozlegało się po kościele; lecz nahałki z za pasa nie wyjął.

II.

Była już wiosna. Z głębi Litwy wlokło się do Rygi czterdzieści wozów z siemieniem. Na pierwszym, lekko ciągnionym przez dzielnego konia, siedział milczący, nieruchomy, ogromny chłop, Maciej Kiarszas; na drugim jego parobek Wincuk.

Przy trzecim, zaprzężonym w nędzną szkapinę, szedł chudy, wysoki starzec, Onufry Minkialis. Ścięła twarz i łagodne oczy, przy mleczno-białych włosach, pociągały wzrok każdego przechodnia; a gdy staruszek, zdejmując czapkę, poważnie witał Chrystusowem imieniem, najdumniejszy magnat, najpłochszy modniś, uchylając głowy, odpowiadali: „na wieki wieków amen” i z zajęciem oglądali się wstecz.

Na czwartym wozie siedział niski młody chłop o czarnym, gęstym zarostcie; z oczu mu świecił

niezwykły upór, a szerokie barki i ogromne muskularne ręce rokowały, że podkowę złamie, jak łuczywo. Tak też było w istocie... Był to Michał Dangialis.

Na piątym jechał Jurgis Wisławas; ruchliwy, dobroduszny, jednej chwili nie mógł spokojnie usiedzieć, ciągle przekomarzał się, gwarzył i tylko wówczas nie żartował z kogoś, gdy śpiewał.

Konie, znużone całonocną drogą, wlokły się leniwie, podróżni milczeli lub drzemali. Wtem Wisławas przetaił oczy i zawołał.

— Panie Onufry, czasby i zaśpiewać, wkrótce słońce wejdzie...

— Spaliście waspanowie, nie chciałem budzić—odparł starzec, poczem przeżegnał się i zaintonował.

„Kiedy ranne wstają zorze

Tobie ziemia, tobie morze”...

Poważna, dźwięczna nuta wzniosła się ku niebu. Jakiś łotysz, przejeżdżający w tej chwili, zdziwiony zatrzymał konia, zdało się mu bowiem, że głos płynie nie z niemi pod obłoki, lecz z obłoków na ziemię; gdy w tem Dangialis, zeskończywszy z wozu, jak huknie:

„Tobie śpiewa żywioł wszelki”...

Łotysz drgnął.

— Panie odpuść—pomyślał—oto ryczy, niby buhaj wiosną...

Wnet i inni zeskończyli z wozów i przyłączyli się do pierwszych: nabożna pieśń napełniła całe przestworze. Łotysz dopiero wtedy ruszył, aż ostatnia nuta zamarla.

— Oto śpiewacy—szepnął—w życiu nie podobnego nie słyszałem.

Łotysz nie mylił się. Proboszcz parafii dymiańskiej, z kąd byli podróżni, od trzydziestu lat, jeżdżąc po wioskach, wyszukiwał chłopców z dobrym głosem, a gdy znalazł, uczył ich czytać i śpiewać; to też do dymiańskiego kościoła, słuchać śpiewu „bratczyków”, przyjeżdżali nawet panowie z okolicznych parafij. Cały chór był dobry, ale takich głosów, jak Minkialis i Dangialis, to chyba na całym i na całym świecie nie znaleźć. Prawda, Onufry jnż podstarzał, nie to, co bywało, lecz i dziś żaden z młodych ani umywa się do niego. Wśród jadących do Rygi dobrych śpiewaków było dwunastu, inni też nie psuli—nie dziw tedy, że łotysz był tak zdumiony.

Gdy pieśń umilkła, Wincuk, zwracając się do Minkalisa, rzekł:

— Ja podejdę, a waspan przysiadłbyś na mój wóz; takiemu koniowi a jeszcze na szosie, to co jemu znaczy!...

Rzeczywiście, konie Kiarszasa były najlepsze w całym taborze.

Gdy starzec usiadł, chłopak ciągnął:

— W przeszłym roku byłem w podlipskiej parafii; u nich nie to co, u nas! Już jaki ja śpiewałem... A tam, jak zdarzył się pogrzeb, wszyscy dziwili się, że śpiewam niby organista.

Stary milczał.

(d. c. n.).

siadała, że kto z jej źródła zaczerpnie, temu się życie napelni goryczą, tego siły na zawsze o-puszcza? Zamiast tak fantastyczne zadawać pytania, czy nie lepiej jest bliżej poszukać odpowiedzi, dlaczego to „nadmiar umysłowości analitycznej pozbawia dziś człowieka zaufania i wkłada na jego oblicze piętno ciągłego, nieuleczalnego smutku”? ¹⁾ Zapewne dlatego, że ów „nadmiar” jest prosto brakiem wiedzy. Idealny, co rzeczwiście część naszej młodzieży zatopiły w morzu apatii i zniechęcenia, są tak powierzchownie przez nią poznane, że między życiem a myślą tworzy się w jej pojęciu nieprzebyta przepaść, ponura otchłań bez granic, bez końca... Ideal stał się abstrakcją od życia oderwaną i nie z nim wspólnego nie mającą. Nowo powzięta idea nie tylko nie jest wytworem konsekwentnego myślenia, nie tylko nie posiada związku z uprzednim światopoglądem, lecz jest wprost jego zaprzeczeniem i negacją wszystkiego w życiu, cokolwiek się niezgadza z komunalami tej idei. Rozumie się, że o budowaniu nowych dróg życia, do lepszej wiodących przyszłości, nie może tu być mowy.

Nowożytniej wiedzy wyniki zbyt są ponętne dla każdego świeższego a ruchliwego umysłu, żeby je raz poznawszy, można było odrzucić, chociażby ze względu na ich kolizyjność z życiem. Hołdować im jednak, a nie móżdż w niczem swemu bóstwu zadośćuczynić, nie móżdż nigdzie swych zasad zastosować; znać prawdę, a nigdzie jej nie słyszeć i nigdy nikomu nie śmieć o niej mówić; czuć sprawiedliwość, a nigdzie jej nie doznać i nigdzie zaprowadzić jej nie móżdż—jest to położenie zaiste tragiczne! Właśnie ta niemożność przemiany myśli w czyn, niemożność, objaśniająca się nieświadomością myśli z jednej strony, a nieznanością życia z drugiej oraz brakiem organicznej łączności ideału z rzeczywistością pogrążyła niemało jednostek w ponurą rozpacz, osłabiając ich wolę i zniechęcając zupełnie do czynu.

Taki wpływ ideałów społecznych na wyrobienie apatii i pesymizmu zdaje się być zupełnie zrozumiałym. Niemożność postępowania według pewnych zasad tłumaczymy tylko nieumiejętnością ich stosowania, zatem—brakiem wiedzy, nigdy zaś jej „nadmiarem”, jak to stanowiło twierdzi dr. Deschamps. Dodajmy jeszcze nawiasem, że wyraz „nadmiar” wiedzy jest strasznym bezsenssem, wykluczającym istotne pojęcie wiedzy, jako sumy ludzkiego poznania.

Dajcie tylko naszej młodzieży możliwość systematycznego kształcenia się, pozwólcie jej myśleć indukcyjnie, nauczajcie prawdy nie w gotowej jej formie, lecz dajcie tylko stosownie wybrany materiał do logicznego samodzielnego wyprawowania zeń konsekwencji; nauczcie nie tylko analizy, lecz i syntezy, a wówczas—ustaną skarżki na „nadmiar” wiedzy ²⁾, ideały będą się uświadamiały, a życie, odróżniające dziś i wzgardzone, stanie się areną szczytnych zabiegów, o lepszą—idealną dolę!

Nienicność zrodziła niemoc moralną, pesymizmem zwaną, nauka więc musi tę chorobę ze świata wypłenić.

S. Karpowicz.

Filantropija w Londynie *)

I. Pałac ludowy.

Od niejakiego czasu po piśmie krąży ciekawe opowiadanie o bajecznym „Pałacu ludowym”, który, jak nowy cud świata zarysował się na tle olbrzymiego siedliska nędzy i kapitału, w Londynie. Co to jest? Czy to wcielenie fantastycznych utopij, czy może skromny pomysł „lokującego” swe pieniądze przemysłowca? O ile pamiętamy, nie odpowiadały jeszcze na te pytania nasze piśmiska, postaramy się więc opowiedzieć czytelnikowi o istotnie ciekawej instytucji, którą dzwignęła niedawno wielka stolica.

¹⁾ Dr. Deschamps. „Newroz i pesymizm”, str. 16.

²⁾ Nie mówię tu o przeciążeniu szkolnym, które stanowi istną plagę naszego wychowania.

*) Dane do artykułu czerpiemy ze świeżo ogłoszonej pracy prof. Janzula „Praktyczna filantropija w Anglii”, opartej na studyjach osobistej przez autora dokonanych w Londynie w sierpniu 1889 r.

Lecz żeby zrozumieć właściwe znaczenie i bez przesady ocenić doniosłość społeczną „Pałacu ludowego” należy przedewszystkiem poznać chociażby ogólne zarysy areny, na której został wzniesiony. Areną tą jest t. zw. Wschodni Londyn—dzielnica zamieszkała przez milion przeszło ludności robotniczej i będąca niejako sutereną, na której się oparł świetny przepych City i innych dzielnic Londynu błyszczącego. Najświeższe dane statystyczne wykazują, że około 30% ludności Wschodniego Londynu, czyli przeszło 300,000 osób należy do najbiedniejszej kategorii klas pracujących; reszta—to robotnicy, którzy, jak elegancko wyraża się profesor Janzula „pozbawieni wszelkiego komfortu spędzają życie w bezustannej walce z nędzą.” Wreszcie we Wschodnim Londynie istnieje jeszcze statystycznie na kategorię ludności, która nie tylko pozbawioną jest „wszelkiego komfortu”, lecz nie ma wogóle żadnego stałego zarobku i z musu trawi czas na bezczynnej włóczędce lub trafunkowej najcięższej pracy. „Ci ostatni cierpią głód, niekiedy otrzymują zasiłki i wsparcia; chwilowy zaś ich zarobek rozprasza się momentalnie.” Wątpię zresztą, czy zachodzi potrzeba bardziej drobiazgowego kreślenia tego obrazu. Ani kaznodziejski zapal księdza — filantropa Barnetta, ani rubryka wiadomości bieżących, mówiące o zepsuciu obyczajów, o skandalach, o wypadkach śmierci głodowej i dzieciobójstwa nie przysporzą już nam więcej grozy i głębszej znajomości rzeczy, aniżeli solidne i ogólne fakty statystyki porównawczej lub znajomość właściwych tendencji współczesnej gospodarki ekonomicznej. Wielki Londyn nie naprótno jest centralnym siedliskiem przemysłu wszechświatowego, więc nie dziwne, że błyszczące City tak bezpośrednio przytyka do wpół-nagiej dzielnicy East London. Chodziło nam tylko o to, ażeby czytelnik przypatrując się w dalszym ciągu ładnej budowie „People's Palace”, spoglądał nań odrazu z właściwego punktu obserwacyjnego.

W roku 1882 mało znany u nas powieściopisarz angielski Walter Besant puścił w świat książkę „Ludzie wszelkich stanów i zajęć” w której „on” i „ona” marzą szlachetnie o stworzeniu dla pogrążonych w nędzę mas czegoś, co by dawało im chociażby przedsmak wielkich zdobyczy kultury. W dwa lata później sir Edmund Ceony—filantrop, i oczywiście, milioner uskutecznił zamiar poety i przystępuje do wzniesienia „Pałacu ludowego.” Projekt zostaje ujawnionym i poddanym szczegółowemu opracowaniu. Jednocześnie zaczynają się sypać zewsząd zasiłki i ofiary pieniężne: Instytucja filantropijna „Fond Beaumont” daje 12½ tys. f. szt.; bogaty cech sukienników 40,000 f. szt., sir Eduard Guinness zakłada przy pałacu ogród zimowy, kosztujący 9,000 f. s., lord Rosberry urządza własnym kosztem w pałacu kąpiel i sałę pływania i t. d. Dzięki tej chętej pomocy osób i instytucyj uprawiających filantropiję już w roku 1886 zebrano ¾ potrzebnego funduszu t. j. około 1,200,000 rs. a w dniu 14 maja 1887 roku królowa Wiktoryja „osobście zechciała uczestniczyć w uroczystości otwarcia Pałacu ludowego i podczas procesji raczyła podać rękę pocie—inicjatorowi Besantowi.”

Te olbrzymie cyfry i ciekawe fakty dopraszają się komentarzy. Trudno wierzyć ażeby to istotnie poeta-inicjator Besant był sprawcą tej instytucji i w pamięci mimowoli powstaje zapoznany niestety aforyzm Buczyńskiego „Miłosierdzie jest tylko wynikiem poczucia niedostatecznej sprawiedliwości i dobroczynności” ma racyję bytu tylko w deficycie ekonomicznym społeczeństwa.

Rzuca to niejakie światło na kolosalne cyfry i ciekawe fakty. Lecz wróćmy do rzeczy.

Pałac ludowy stanął wreszcie w samym centrum dzielnicy Londynu Wschodniego w bliskości stacji kolei podziemnej, tuż obok linii kolei konnej—słowem wśród najlepszych warunków. O rozmiarach jego można mieć jakie takie pojęcie z następujących danych. Tak zwana Queens Hall, sala głównego korpusu budowli może w sobie z łatwością pomieścić 2,500 osób; prócz tego istnieje w pałacu niezliczone mnóstwo sal i pokoi najrozmaitszego użytku, stosownie do trzech głównych celów, jakim ma odpowiedzieć nowopowstała instytucja: 1) oświaty; 2) dostarczanie rozrywki i 3) uspołecznienie warstw pracujących. Idą więc po sobie

pokoje i sale koncertowe, gimnastyczne i wogóle sportowe, szkolne, biblioteki i czytelnie, sale odczytów i klubów i t. d. Biblioteka np. mieści już obecnie 20,000 tomów, a obrachowana jest na 250,000. Czytelnie odwiedza codziennie około 1,000 osób czytających przeważnie lepszych autorów beletrystów lub dziełka popularnej treści technicznej i społecznej. W szkołach odbywają się wykłady nauk stosowanych do przemysłu i rzemiosł, jak rysunku, techniki, chemii, stenografii i t. d. Jednocześnie dla osób dorosłych urządzone bywają wykłady i odczyty wieczorne lub niedzielne.

Nie sposób w pobieżnym sprawozdawczym artykule naszkicować szczegółowo takiej powikłanej i wielostronnej maszyny, jaką jest Pałac ludowy. Postaramy się więc przynajmniej pochwycić główne zasadnicze jego rysy i określić mniej więcej co zdziałał dotychczas—ażeby, nie gmatwając się w barwnych, lecz nie ważnych drobiazżach, orzec o jego znaczeniu.

Pałac ludowy ma przedewszystkiem na celu dostarczanie warstwie pracującej rozrywki i wytechnienia po pracy; dalej, szerzyć zamięra oświatę jak techniczną tak ogólną, i, wreszcie, chce oddziaływać na warstwy te uspołeczniająco, wytworzyć w nich poczucie potrzeby życia towarzyskiego.

Oto są jego główne zadania. Charakterystyczną cechą stanowi tu połączenie razem trzech dążeń, które najczęściej, pojedynczo brane, bywają przedmiotem zabiegów już filantropii; już wogóle świadomej działalności społecznej.

Rzecz prosta, że zadania te są w wysokim stopniu sympatyczne i że plan ich połączenia obmyślanym jest, o ile można najlepiej; nie należy jednak zapominać, że nawet te ogromne pozornie kapitały, jakimi rozporządza Pałac ludowy, są właściwie czerpakiem wobec bezdennej toni nędzy, co zresztą nie ujmuje mu wcale etycznie-społecznej doniosłości. Następnie dla scharakteryzowania instytucji trzeba dodać, że użytkowanie darmo z jej wpływów dodatkich jest prawie całkiem wstrzymano. Szkoły, rozrywki i zebrania są dostępne dla tych tylko (z bardzo nielicznymi wyjątkami), którzy wnoszą pewne opłaty pieniężne. Opłaty te, stosownie do kategorii, bywają nader rozmaite.

Najogólniejszą opłatą, jest opłata członków instytucji (około 5,000) wynosząca 3 szylingi kwartalnie lub 10 szylingów rocznie i dająca im prawo korzystania z czytelnii, klubów, wystaw i czasem nawet koncertów, urządzanych w Pałacu. Członkami Pałacu mogą być zarówno mężczyźni jak i kobiety—te ostatnie płać o połowę mniej; członkowie jednak nie mogą mieć mniej niż 16 i więcej jak 26 lat. Młodsze osoby tworzą znowu inną kategorię; kategorię uczących się. W szkołach opłata bywa też bardzo rozmaita; najogólniejsza za cały kurs roczny wynosi około 20 rs.; uczniami mogą być tylko dzieci rodziców niezamożnych (mających mniej niż 200 f. szt. dochodu, co zresztą świadczy o wysokiej w stosunku do naszej, stopie życiowej angiłków: 200 f. = 2000 sr.).

Celowi uspołecznienia odpowiadać mają wszelkiego rodzaju zebrania, wieczory i kluby, których jest już 20: łyżwiarski, muzyczny, śpiewacki, kobiecy i t. d. Takimi są pobieżnie zarysowane zasady instytucji. Zasada opłaty, która jest ściśle przestrzegana może być uważana za cokolwiek chybioną i kazuistyczną, o ile się opiera na względnie „demoralizujących wpływów darmego korzystania”. Chybioną jest dla tego, że uniemożliwia przystęp dla szerszych mas, kazuistyczną zaś, ponieważ współczesne poglądy etyczne i naukowe uczą nas, że prawo korzystania z takich instytucyj, jest Pałac ludowy, robotnik opłaca, niekoniecznie przy wejściu i monetą brzęczącą.

Przejdźmy wreszcie do danych, bezpośrednio już charakteryzujących wpływy obecne People's Palace. W przeciągu jednego 1888 roku liczba zwiedzających pałac wyniosła 1½ miliona osób. Podczas samych wystaw i zniżonych opłat, w przeciągu 6 tygodni przeszło przez Pałac z górą 300,000 osób „z warstwy najniższej proletaryjatu, która nigdy i nigdzie nie bywa wpuszczaną na żadne wystawy lub uroczystości”. I o dziwo! „nie było ani jednego skandalu, nie zaszło nic coby spowodowało jakies zajście z policyją”—wola sprawozdawcy. Ilość osób zwiedzających czytelnie była kolosalną; na wykłady wie-

czorne i niedzielne uczęszczało za każdym razem trzy tysiące kilkaset osób. Znowu więc spotykamy się z cyframi dużemi, które świadczą z jednej strony o doniosłości instytucji, z drugiej zaś wielkim głosem wołają o dalszy rozwój i postęp w tym kierunku. Ciekawym faktem naprzykład jest to, że zestawiając ogólną cyfrę zwiedzających pałac (1½ mil.) z cyfrą ludności samego East London, przychodzimy do wniosku, że przeciętnie na każdego mieszkańca tej dzielnicy przypada zaledwie jedna bytność do roku w People Palace.

Cyfrę to zwróciły uwagę samego zarządu, który „uważając, że ludność istotnie dojrzała do korzystania z instytucji” postanowił rozszerzać zakres jej działalności przez zniżenie opłat.

Liczba uczących się wynosiła 250 dzieci w zakładzie ogólnym i około 170 w szkole technicznej (z tych przeszło 70 bezpłatnych). Liczby ich są tak małe nie dlatego, żeby East London nie dostarczał wielu tysięcy dzieci, chcących korzystać z oświaty, lecz popierwsze dlatego, że opłaty uniemożliwiają dostęp; powtóre zaś, że liczba ograniczona być musi przez wzgląd na środki instytucji.

Poeta Bennett sądzi, że „tysiące dziatwy oczekującej przed podwojami tego przybytku zostaną kiedyś doń wprowadzone”, a ktoś inny z wielką słuszością twierdzi, że Londyn, ażeby cokolwiek się ogarnąć ze swych straszliwych łachmanów nędzy musi posiadać co najmniej 3 lub 4 takie pałace. Przyznajemy wszelką słuszość tym twierdzeniom, a czytelnik prawdopodobnie podzieli nasze zdanie.

Reasumując całą gmatwaninę różnorodnych cyfr i wrażeń, jakich dostarcza widok i poznanie Pałacu ludowego, możemy zrobić następujące wnioski. People's Palace robi pozornie tylko przygniatające swą wielkością wrażenie. Po baczniejszym przyjrzeniu się jego istotnym wpływom, oraz stosunkowi, w jakim stanął do potrzeb ludności East London trzeba przyznać, że nie odbiegają one tak bardzo daleko od normalnych urządzeń filantropijnych, że zatem i doniosłość jego pod względem tym nie jest o wiele co większą od zwykłej normy dobroczynności. Znaczenie People's Palace upatrywać raczej należy w tem, iż jest on niejako wyrazem budzącej się a zgodnej z przytoczonym wyżej aforyzmem Buczyńskiego świadomości. Czyli że zarówno dla City jak dla East London może on mieć znaczenie kulturalno-pedagogiczne. Musimy jednak zaznaczyć, że nawet pod tym względem nowopowstałej instytucji zbywa na zgodniejszej z nowymi poglądami etycznymi myśli przewodniczo. Instytucja zanadto jest „filantropijna” i zamało zwraca uwagi na wpływy istotnie uświadamiające i uspołeczniające w szerszym znaczeniu warstwy ludowe.

Na tę stronę działalności wśród warstw nieuprzywilejowanych zwróciła baczniejszą uwagę inna instytucja londyńska, o której pomówimy w numerach następnych.

A. P. Ordynski.

Wybór małopolskich pieśni ludowych.

W literaturze polskiej, a także i w główniejszych literaturach zachodniej Europy¹⁾ niejednokrotnie mówiono z uniesieniem o piękności ukraińskich pieśni ludowych. Poezyja ludowa ukraińska wywarła też niemały wpływ na artystyczną literaturę polską, natchnęła takich poetów, jak Bohdan Zaleski, Sew. Goszczyński i wielu innych.

Mimo to jednak, chociaż dziwnem się to wydać może, dotychczas prócz nielicznych wyjątków nikt nie próbował poznać szerszej publiczności polskiej z najcenniejszymi perłami ludowej poezji ukraińskiej w przekładzie, odpowiadającym współczesnym wymaganiom. W rzędzie owych wyjątków wymienić należy Brodzińskiego i Zaleskiego, ale przekłady przez nich dokonane były bardzo nieliczne, wobec ogromu materiału wprost znikające, a powtóre

przekłady wykonane były w sposób tak swobodny, że nie dają prawie żadnego pojęcia o oryginałach. A nadto zważyć należy, że zgromadzony dotychczas skarb ludowej poezji ukraińskiej jest tak obszerny i różnorodny, maluje tak różnorodnie obrazy życia ludowego i na tak wielkiej przestrzeni czasu, że dla pozajomienia obcego czytelnika z właściwym charakterem tej poezji niezbędnym jest przekład najcenniejszych pieśni z każdego oddziału (pieśni kultu, historyczne i społeczne, rodzinne i t. d.).

Raczej dla wskazania tej potrzeby, niż dla spełnienia tego zadania ośmielam się podać publiczności swój wybór małopolskich pieśni ludowych w moim przekładzie. Czuję aż nadto dobrze, jak niewystarczający jest mój przekład wobec współczesnej, tak wysoko wyrobionej techniki wiersza polskiego. Być może, że i samym oryginałom tu i owdzie uchybiłem—faciunt meliora potentes. Wybieram na początek szereg pieśni rodzinnych i społecznych.

Iwan Franko.

I. Mąż bije żonę.

Hej tam za górką, tam za zieloną,
Niedobrze żyje mąż ze swą żoną.
Ona mu ścieli pościółkę lnianą,
On jej nahajkę sprawia drucianą.
Białej pościółki nikt nie utłoczy,—
Nahajka z drutu we krwi się broczy.
Pościółkę białą kurz pokrył całą,—
Nahajka z drutu rwie białe ciało.
„Mężu mój, mężu, nie bij tak srodze,
Mam ciało białe, boli mię srodze!”
„Puść-że mię, mężu, w sadek wiśniowy,
Niech sobie urwę kwiatek różowy.
Puszczę ja różę w wodne głębiny:
Płyn różo-kwiecie do mej rodziny!
Płyn różo-kwiecie w wód bystrych biegu,
Ujrysz mą matkę—przyplłyn do brzegu!”

Wyszła matula brać wodę z toni,
Ujrzała różę, gorzkie lzy roni.
„Skąd-że mi płyniesz, ma różo miła?
Snać to ma córka ciebie puściła!”
— Pragnełaś, matuś, zbyć się mnie z domu,
Dalaś mię, dała nie wiedzieć komu,
Czy ci żal było chleba, com jadła,
Żeś mię wydała, bym tu przepadła!
Czy ci żal było miejsca małego,
Żeś mię oddała za niemilego!
Czym ci tak, matuś, zbrzydła ogromnie?
Wkrótce czas przyjdzie, zapłaczesz po mnie.
(Powiat kossowski).

II. Lepszy niemiły mąż, niż pan kochanek.

Oj leciała kukułeczka z Ukrainy,
Pogubiła swe pióreczka wzdłuż doliny,
Oj, a któż te siwe piórka zebrać może?
Czeka miła na miłego w swej komorze.
Przyszedł miły, już i północ niedaleczko,
I zapukał w to małutkie okieneczko,
„Czy ty drzemiesz, moja miła, czy też czujesz?
Czy ty sama ciemną nocką tu nocujesz?
„Nie śpię, miły, nie śpię, drogi, ale czuję,
I z miłym ciemną nockę tu nocuję.”
„Oj odsuń się, moja miła, od starego,
Niech weń strzele, jak w gołębia lasowego!
Czy nie będziesz, miła, płakać i narzekać,
Jak się zacnie siwy gołąb we krwi trzepać?”
„Oj będę ja, miły, płakać i żałować,—
A któż będzie drobne dzieci me hodować?”
Lepsza była sucha ryba, niżli z wodą,
Lepiej było żyć z miłym, niżli z tobą.
Lepsza była sucha ryba, niżli z szafranem;
Lepiej było żyć z miłym, niżli z panem.
Lepsze było mi z miłym biedowanie,
Niżli z panem, niżli z panem panowanie.
(Nalmiowice, pow. drohobycki).

III. Mąż pijanica.

Oj wierzbo, wierzbo kędzierzawa,
Zkądżeś kędziórów tych nabrała?
Skędzierzawił mię wiatr stepowy,
Co mi co rana chyła głowy.
Skędzierzawiła noc swym cieniem,
I bystry potok pod korzeniem.

Dziewczyna młoda, jak jagoda,
Nie pójdę zamaż za rok, za dwa.
Poszłamci zamaż aż piątego,
Za pijanicę przekłętą,
Ludziska szydzą, on pracuje,—
On w karczmie mało nie nocuje,

Ludziska gwarzą: on się biedzi,
A on dzień po dniu w karczmie siedzi.
Ludziska mówią: on się gryzie—
A on wieczorem z karczmy lézie,
I tak dzień po dniu wciąż się dzieje,
Przepił konika, przepił szleje.
Przepił konika, oj, wronego.
Przyszedł do stajni po drugiego.
A ja wychodzę, drzwi odmykam,
Złotego rubla w dłoń mu wtykam.
„Hej miły, miły, miej sumienie!
Co ty tak tracisz nasze mienie!
Przepiłeś konia, oj, wronego,
Idziesz do stajni po drugiego!”
— „A tobie, miła, co do tego,
Do mego konia, do wronego?
Wykup mi konia—polubię cię,
A nie wykupisz, to zgubię cię!”
— „Nieraz ci ja go wyręczała,
Okienkiem z chaty uciekała,
W wiszniowym sadzie nocowała!
W wiszniowym sadzie pod kaliną,
Jeszcze z malutką tą dzieciną.
Leci kukułka: kukul kukul!
Ja biedna płaczę do rozpuku.
Swięgocą ptaszki: ciap-ciap! ciap-ciap!
A mnie lzy z oczu: kap-kap, kap-kap!
Słowiczek śpiewa: tioch-tioch! tioch-tioch!
Me lzy się toczą, jak groch, jak groch.
Hej słowiczek, braciszek, braciszek,
Wy kukułeczki, jak siostrzyczki!
Zrzućcie po piórku dla sieroty,
Dajcie mi swoje wolne loty!
Niech z wami razem w świat wędruję,
Niech mię nieluby nie lubuje,
Polecę z wami w nockę ciemną,
Niech się nie znęca wróg nademną!
(Pow. kołomyjski).

IV. Mąż zabija żonę.

Oj, zakwitła kalina u zdroja,
Czegoś tęskna, smutna dusza moja!
Ponoś ci mię mój miły nie lubi,
Że ku sobie mię on nie holubi.
Co wieczora do innej gdzieś chodzi,
Po północy aż do mnie przychodzi.
Nachmurzony kładzie się koło mnie,
Ani słówka nie przemówi do mnie.
„Precz się odsuń odemnie, niemiła!
Mam piękniejszą, aniżeli ty była!”
„Choć byś ich miał, ile kwiatów w trawie,
Zawsze ja tu jedna jestem w prawie.
Bo na jednym kłęczniku-smy stali,
Jednemuśmy Bogu przysięgali,
A kto złamie przysięgę swej parze,
Tego ciężko Syn boży ukarze.”
O północy rozmowa ta brzmiała,
Po północy nahajka szumiała,
A nad ranem nieboga zemdlała.
Przyszła matka, skoro zaświtało:
„Zięciu, zięciu, co się u was stało?”
— Oj zła, matko, stała się nowina,
Czemuś nie chce wstawać moja miła,
Oj, wstań miła, kupię ja ci wina!
— Oj, nie wstanę, niech ci wstaje innal
— Oj, wstań miła, kupię ja ci piwal
— Oj, nie wstanę, bo już siły niema.
— Oj, wstań miła, wstań moja milutka,
Płacze twoja dziecina malutka!
— Oj niech płacze, niechaj nie przestanie,
Kto raz umarł, już więcej nie wstanie.
— Dał bym, matko, konika ze zbroją,
By kto zbudził najmilszą moją!
— Choć byś, synu, dał pół mienia swego,
Nikt jej życia nie wróci młodego!
(Pow. kołomyjski).

V. Piękność i rozum w zameżciu.

Hej cóż to tam za dym w polu,
Miły Boże!
Czy się orły skrzydły biją?
Miły Boże!
Nie, to Dola grzadzki kopie,
Miły Boże!
Rozum sady, piękność sieje,
Miły Boże!
„Ty piękności po pas rośnij,
Miły Boże!
Ty rozumie wyżej głowy,
Miły Boże!
Jeśli mąż mój będzie dobry,
Miły Boże!
To ja piękność w twarzy znoszę,
Miły Boże!

¹⁾ Zobacz Bodenstadt, Die poetische Ukraine, K. E. Frauss Die kleinrussischen Volkslieder, Rambaud, La Russie epique i t. d.

To ja rozum w dom mu noszę,
Miły Boże!
A gdy mąż mój przykry będzie,
Miły Boże!
To ja piękność we łzach zleję,
Miły Boże!
To ja rozum w zdradę puszczę,
Miły Boże!
(Lolin, pow. doliniński).

BEZ OBLUDY.

Opieka nad moralnością służby.—Dbalność o podrzutek. —Głosy publiczne.—Wielbiciela rzeźby.—Zasługi przybranego syna.

Niedawno, z powodu wystąpienia *Przeglądu Pedagogicznego* na korzyść służących, słyszeliśmy, że „państwo nie mają czasu na takie sentymenty, gdyż ciężko pracować muszą na utrzymanie tak siebie, jak i swojej służby”. Niejedyn z cudzoziemców, bawiących wówczas w Warszawie, dziwił się pewno takiemu odwróceniu u nas przyrodzonego porządku rzeczy i zapytywał siebie w duchu, co może porabiać nasza służba w czasie, kiedy państwo na nią „ciężko pracuje”. Sprawa ta zaczyna się powoli wyjaśniać.

Oto „p. o. poliemanjstra dowiedział się, że w mieszkaniach stróżów w wielu domach zbierają się służący miejscowi obojga płci w celu beczynnego przepędzania czasu, pijaństwa, lub innych nagannych postępów, mogących nader niekorzystnie wpłynąć na ich stronę moralną...—Z tego powodu poleca pp. komisarzom cyrkulowym wzmożnić przez starszych dozorców rewirowych nadzór nad sprawowaniem się wszystkich wogóle stróżów i o tych, którzy okaza się nie zasługującymi na zaufanie, lub wątpliwą moralnością, zawiadamiać właścicieli domów, prosząc ich jednocześnie, aby stróżów tych bezwzględnie od obowiązków oddalili”.

W tym więc wypadku, tak samo, jak i w wielu innych, wyższa kultura naszej inteligencji jest dla niej puklerzem. Kiedy tylko zbiorą się państwo obojga płci, czas nie upływa im nigdy beczynnie, strona zaś ich moralna, pozostawiona częstokroć dla wygody w domu, nie naraża się na ujemne wpływy obcowania. Potrzeba być istotnie człowiekiem niskiej kultury i moralności, aby zbierać się „w celu beczynnego przepędzania czasu”, kiedy przecież można wymyślić jakąś zabawę, albo przynajmniej jakąś pożyteczną rozrywkę. Inteligent potrafi zawsze zabawić się odpowiednio: ciągle słyszymy o naradach cyklistów, o rozrywkach wioślarzy, o rautach w resursie kupieckiej, albo obywatelskiej, o popisach w towarzystwie muzycznym, o rozrywkach w muzeum handlu i przemysłu, o wieczorkach humorystycznych, wełnianych, perkalikowych, wintowych i t. p., ale niech tylko zbierze się kilka figur z gminu, nie mogą one znaleźć lepszego celu zebrania nad beczynność.—Skutki jej ponosić musi inteligencja. Ona też cierpi z powodu rozmaitych „nagannych postępów, mogących nader niekorzystnie wpłynąć na ich stronę moralną”. Dowodem tego kłopoty naszych pań i panów z „garnuszkami”, który od niejakiemu czasu stał się nie tylko beniaminkiem filantropii, ale i dźwignią naszego przemysłu i handlu. Pan Plewako, założycielki i wędliniarz, przez parę dni ściągał tłumy klientów na „garnuszek”; wystawa rzemieślnicza nie tylko zwabiła ku nam poważne firmy rosyjskie, nietylko rzemieślnicy nasi zarobili na niej, ale i projektowany „żłobek”, co głównie zawdzięczać trzeba p. Wróblewskiemu, który „zadeklarował 10 proc. ze sprzedaży pierników”.

Dalej znów, kilka serc litościwych uderzać będzie wyłącznie dla „garnuszkami” w zaimprovizowanym sklepiku na Krakowskim (pałac Krasniskich), sprzedając bardzo ładne i tanie przedmioty. Nakoniec, z powodu ożywionego zajęcia się publiczności sprawą podrzutek, prasa przypomniała nam o zapisie s. p. Kociolkiewicza. Obywatel ten, dorobiwszy się ładem i oszczędnością kilkuset tysięcy rubli, a obdarzony od losów dziesięciorgiem dzieci, pomyślał przed śmiercią o takich, którym nieba nie pozwolą zapisać potomkom nawet po 30,000 rs.

Zapisał też pewien kapitalik na założenie nowego domu podrzutek w okolicach Warszawy.

Fundusz nie jest jeszcze wystarczającym i poruszenie tej sprawy obecnie, kiedy oburzenie na „fabrykantki aniolków” zapanowało chwilowo nad oburzeniem na „wyrodne matki”, może przyczynić się do zaradzenia złemu bardziej zasadniczego, niż doraźna sprzedaż serdelków albo pierników na garnuszek.

Umiejętność wyzyskiwania chwili odpowiedniej stanowi nieraz o powodzeniu nietylko dobrej ale i złej sprawy, nietylko ogólnej ale i osobistej. Chęć podobnego wyzyskania widzimy w dość tajemniczej odezwie „jednego z członków” umieszczonej w *Kuryerze Warszawskim* z powodu zbliżających się wyborów komitetu towarzystwa muzycznego. „Jako wieloletni członek tej pożytecznej instytucji, pragnę za pośrednictwem pańskiego pisma zachęcić członków Towarzystwa aby licznie zgromadzili się i głosować zechcieli na korzyść dotychczasowych członków, dając tem niejako *votum* zaufania komitetowi i niwecząc jednocześnie szkodliwe agitacje, o jakich chodzą wieści”. Dlaczego należy dawać *votum* komitetowi? Dlaczego pogłoski, krążące po mieście, są szkodliwe i dla kogo? Czemu wreszcie „długoletni członek” nie ma odwagi nazwiskiem swem poprzeć własnej prośby czy rady? Co do mnie, to nie mógłbym odpowiedzieć ani na jedno z tych pytań, a sądzę też, że nawet wielu członków Towarzystwa znajduje się w tem samym położeniu. Dlaczego więc sprawa tajemniczych a szkodliwych intryg nie jest oddana sądowi publiczności. Dlaczego się ubliża obecnemu rządowi przez jakieś bezimienne i nieumotywowane zaprosiny do głosowania na jego korzyść? Może w tem być wiele polityki, wiele mądrości stanu, ale nie widać za to ani tego, co się dzieje w łonie Towarzystwa, ani też w jaki sposób publiczność mogłaby wytworzyć sobie pojęcie o jego sprawach.

Po handlowych reklamach z powodu zbrodni i „garnuszek” ukazały się w pismach naszych reklamy z powodu śmierci, reklamy nekrologowe. Podczas jednak kiedy serdelkom i piernikom udało się dostać do „tekstu” czasopism, fabrykanci piwa, spadkobiercy p. Hermana Junga musieli zapłacić godności prasy pewien podatek, umieszczając szumne reklamy pod „kreską” i za numerem. Czytamy tam, jak zwykle, dytremby na cześć niezmordowanej pracy i energii zmarłego. „Dowiodł tego s. p. nieboszczyk najlepiej, gdy po upływie lat niespełna 40 z dzierżawcy jednego tylko skromnego browaru stał się nietylko właścicielem kilku potężnych, siłą pary obsługiwanych zakładów lecz i najpiękniejszym u nas producentem w tej gałęzi przemysłu... Otwierał zawsze obszerne pole do pożytecznej pracy i zapewniał chleb uczciwym setkom i tysiącom ludzi”. Widywałem nieraz uczniów piwowarskich, jak po siedemnastu godzinach uczciwej pracy, sianając się na nogach, niezdołnymi byli już do jakiegoś takiego nawet pokrępowania lub rozzerwania umysłu książką czy gazetą, pomimo że i ustawa cechowa i pragnienie wiedzy kazaly im pamiętać jeszcze o egzaminie na czeladnika. W chwilach takich pojmovalam jasno, że istotnie nadludzka energia i praca pozwalają skromnym dzierżawcom stawać się właścicielami potężnych zakładów, obsługiwanymi parą.

Pisząc panegiryk żalobny, spadkobiercy nie zapominają wszakże pocieszyć siebie i publiczności oświadczeniem, że jakkolwiek strata ich oraz przemysłu jest wielką, to jednak „działalność i rozwój fabryki *navoi* wspomogą dzielnie świeżo przybrane, młode i doskonale fachowo wykształcone”, a podług innej redakcji: „świeże i młode kompletnie” siły. Wskutek tego też „bieg i prosperencja przedsiębiorstwa nie doznają najmniejszej przerwy”.

Istotnie, prosperencja wyzyskująca nawet nekrologię, nie może doznawać przerwy; miedzy też nadzieję, że dostarcza ona będzie w dalszym ciągu setkom i tysiącom uczciwej a niezmordowanej pracy i że setki owe nie będą zbierały się u stróżów w celu beczynnego przepędzenia czasu, co mogłoby szkodliwie oddziaływać na ich stronę moralną i umysłową.

Maryjan Bolusz.

GŁOSY.

— Błędne informacje. *Kuryer Poranny* z d. 11 marca r. b. podaje wiadomość o rozestaniu, między innemi i przy *Głosie*, kwestyonaryjusz w przedmiocie wierzeń ludowych w siłę leczniczą roślin. Pomijając okoliczność, że „artykuł” ów, niby oryginalny, jest przedrukiem z odezwy samej, a jednak sam tylko kwestyonaryjusz jest za przedruk przez autora artykułu podany, pomijając ten fakt drobny, znajdujemy w nim informacje błędne.

Kwestyonaryjusz ów wysłała nie redakcja *Zdrowia*, lecz jeden z lekarzy młodszych, a redakcja *Zdrowia*, a właściwie jej administracja w osobie doktora Polaka zezwoliła, by odpowiedzi do rekakcji pisma nadsyłano. Redakcja więc *Zdrowia* ani w inicjatywie, ani w wykonaniu nie bierze udziału, a wyrazi: „redakcja *Zdrowia* zestawienie i opracowanie obserwacji na siebie przyjmuje”—są fałszem.

Co się tyczy źródeł już drukowanych a tycających się wierzeń ludowych w siłę leczniczą roślin, to w jaknajbliższym numerze *Wisty* znajdzie się spis zupełny literatury odnośnej.

— Ospa. Przed kilkoma miesiącami pisano sporo w dziennikach o grasującej w Warszawie epidemii ospy. Wywołało to nawet postrach i wiele osób dorosłych poddawało się ponownemu szczepieniu (rewakcyjnacyi), a władza zaczęła środek ten ochronny zalecać. Obecnie dr. Stępniewski pomieścił w *Medycynie* artykuł, w którym dowodzi, że w Warszawie nazwy epidemii nie można stosować do ospy, panuje bowiem ona stale, przynajmniej od lat dwunastu, to słabnąc, to wzmagając się na przemian. Świadczy o tem statystyka śmiertelności, prowadzona mniej więcej dokładnie od 1877 roku. W ciągu tego okresu ospa cztery razy wzmagala się silnie a stosunek zmarłych z niej do ogólnej liczby zmarłych wynosił 5%, 6%, 8% i 11%.

Dane statystyczne wykazują również pomysłne rezultaty rewakcyjnacyi. Od czasu zastosowania tego środka śmiertelność wśród klasy inteligentnej, która chętniej poddaje się powtórnemu szczepieniu, zmniejszyla się, kiedy dawniej ospa z jednakową siłą szerzyła się wśród całej ludności. Według dra Stępniewskiego rewakcyjnacyja jest jedynym, pewnym środkiem złagodzenia przebiegu ospy i zmniejszenia śmiertelności.

— Charakterystyka mieszczaństwa.

P. Kazimierz Zalewski, redaktor *Wieku* i recenzent teatralny *Kuryera Warszawskiego*, oceniając nową komedyję Lubowskiego „Przyjaciółka żon” pisze o naszym *high-lifcie* mieszczańskim: „Ludzie ci mają czas, pieniądze i nerwy, trzy najniebezpieczniejsze czynniki tam, gdzie ich nie równoważą uczucia moralne, aspiracje wyższe, ideały obowiązku i poświęcenia”. Dalej: „I oto pojawia się figura nowa w salonach tych pań i panów, którą Lubowski żywcem ztamtał przeniósł na scenę. Jest to pani Wiatrowiczowa, „przyjaciółka żon”. Dama ta jest nowym importem towarzyskim, rodzaj *cher ami* w spódnicy. Nie przeceniam wogóle moralności naszego społeczeństwa, nie uważałem go nigdy za wyjątkowo czyste, ale bądź co bądź, patrzymy dzisiaj na ciekawe gonitwy konkurencyjne, w których zacofani, pragnąc jakby wynagrodzić czas stracony, biegną pędem do paryzkiej mety, aby się tylko nie dać wyprzedzić metom wielkomiejskiej cywilizacyi. Pod tym względem robimy postępy, które, jak taranem, kruszą ostatnie strzępy obronnego muru, po za którym chronią się widma konającej opinii publicznej. Czy istotnie taka pani Wiatrowiczowa była u nas jeszcze możliwa, lat temu z dziesięć, piętnaście?” „Tymczasem teraz grasuje poważnie. Rajfuruje, ułatwia schadzki i romanse a współcześnie jest przyjmowaną wszędzie na równi z uczciwymi kobietami”. „Za takie rzeczy płaciło się dawniej, ale nie towarzysstwem własnym, nie gościnnością niepokalaną świętymi rodzinnej. Istotnie zrobiliśmy zadziwiające postępy.”

Dzięki p. Zalewskiemu za to świadectwo, wystawione naszej burżuazji, której heroldem był on nieraz, za tę chwilę szczerości, która bezwiednie, o władnęła jego piórem. Gotowimy wybaczyć mu za to śmieszna maniję, która

w teatrze widzi punkt ciężkości świata, a w osobie p. Zalewskiego nieomyślnego krytyka i najświetniejszą gwiazdę polskiej literatury dramatycznej. P. Zalewski zna „swoich” ludzi, i to świadectwo im wydane w nr. 69 *Kurjera Warszawskiego* z r. b. zachowywać trzeba, jako cenny dokument do przyszłej historii naszej burżuazji. Coś gnije w tem państwie, jeśli takiego kapłana prawomyślności mieszczańskiej, jakaś siła wyższa zmusiła do uchylenia rąbka zasłony tej sfery. Obawiamy się tylko, czy p. Zalewski słów swoich żałować nie będzie, bo cóż o tem powiedzą jego ludzie? Przypomną mu niezawodnie nasze ulubione przysłowie o ptaku, kalającym własne gniazdo. Cóż powie własna jego pamięć, jego tendencje publicystyczne? Przypomną mu z jakim fanatyzmem sekcjarza rzucał się zawsze na Dumasa syna, a niedawno na Brandesa z powodu jego „Odwiedzin” i to za to mianowicie, że wykazywał nicosć mieszczaństwa... Ale za tę chwilę szczerości, w każdym razie dzięki...

— Oszczędniejsi czy szczęśliwsi. P. B. Danielewicz w nr. 65 *Kurjera Codziennego* pomieścił artykuł, p. t. *Oszczędniejsi*, w którym stara się wykazać, że ludność żydowska w Warszawie jest oszczędniejsza od chrześcijańskiej. Na zasadzie sprawozdań kas oszczędności, autor oblicza, że im więcej żydów mieszka w jakimś cyrkułe, tym więcej oszczędzających cyrkuł ten dostarcza. Tak np. w cyrkułe bielańskim na 1000 ludności przypada 875 izraelitów i 13-29 uczestników kas oszczędności, w jerozolimskim 333 i 7-80, w łazienkowskim 107 i 4-93. W odpowiedzi na te wywody Bolesław Prus w artykule p. t. *Shczęśliwsi* łatwo rozbił taką fantastyczną argumentację:

„W cyrkułe bielańskim, mówi p. Danielewicz, gdzie na 1000 mieszkańców przypada 875 izraelitów, jest przeszło 13 oszczędzających. Natomiast w cyrkułe łazienkowskim, w którym wypada tylko 107 izraelitów na 1000 ludności mamy niespełna 5 oszczędzających. Rezultat ten zdaje się dowodzić, że izraelici są skłonniejsi i t. d.”

„Za pozwoleniem. A cóż zrobimy z dwoma następnymi cyrkułami z tabliczki p. Danielewicza. W cyrkułe Nowego-Swiatu jest tylko 81 izraelitów a 6 oszczędzających, zaś w wolskim jest 388 izraelitów a 15 oszczędzających na 1000. Co teraz będzie z wnioskiem”.

Samo zestawienie cyfr powyższych wskazuje, że wniosek p. Danielewicza, chociaż może słuszny, jest nieuzasadniony. P. Gosiewski jednak—trzeci w tej kwestji—niby superarbitr wyrokuje na podstawie metody najmniejszych kwadratów, że przeciętny izraelita jest 3-38 razy oszczędniejszy od chrześcijanina.

Może tak z obliczeń wypada, z tablicy jednak, podanej przez p. Danielewicza wysnuć można ten tylko wniosek, że największą liczbę oszczędzających dają te cyrkuły, w których mieszka przeważnie ludność pracująca—robotnicy i rzemieślnicy, mianowicie cyrkuły: wolski bielański, powązkowski i jerozolimski... Większy zaś stopień oszczędności żydów pozostaje zupełnie niedowodnionym.

Z OBCEGO ŚWIATA.

XCVI.

Reforma wykształcenia średniego w Europie Zachodniej.
—Reforma uniwersytecka we Francji.—Stowarzyszenie studentów w Paryżu.

Reforma gimnazyjów, podjęta przez ruskie ministeryjum oświaty, żywo zainteresowała nasz ogół. Jakkolwiek dziś jeszcze nie podobna określić, jakie mianowicie zmiany zaprowadzone będą, nie podlega jednak kwestji, że dwie rzeczy uwzględnione zostaną: przeciążenie uczniów i przewaga klasycyzmu w systemie nauk. Zamierzona reforma łączy się ściśle z podobnymi dążeniami w całej Europie. Żądanie reformy wykształcenia średniego spotykamy wszędzie w jednokich niemal formach. W roku zeszłym notowaliśmy na tem miejscu zdanie Virchowa o zupełnej możliwości zastąpienia autorów rzymskich i greckich dobrymi ich przekładami. P. Dreyfuss Brisac w *Revue internationale de l'ensei-*

gnement wykazuje, że takie same poglądy zdobywają coraz więcej zwolenników w Anglii. Wykształcenie literackie i studyjowanie klasyków winno pozostać, a raczej stać się główną podstawą wychowania, dzisiaj bowiem, jak utrzymują angielscy zwolennicy reformy, studyjowanie klasyków w szkołach nie ma prawie miejsca. Wprowadzenie do kursu nauk nowych przedmiotów ograniczyło czas przeznaczony na języki starożytne i obecnie wyłącznie niemal gramatyka jest przedmiotem zajęć. Należy porzucić uciążliwe, na nie niepotrzebne dla większości uczniów i wcale nie kształcające wykuwanie prawideł gramatycznych, a otrzymany czas zająć studyjowaniem klasyków w przekładach. W Niemczech prąd reformatorski ogromnie się rozwija. Już przed 25 laty przedstawiciele wykształcenia realnego, związani później w t. zw. *Realschulmännerverein*, rozpoczęli agitację, domagającą się równouprawnienia uczniów szkół realnych z uczniami gimnazyjów klasycznych. Pomimo, że profesorowie uniwersytetu okazali się, z początku zwłaszcza, niechętni dla zamiarów związku, rozwija się on coraz bardziej i osiągnął już pewne rezultaty, jak np. dopuszczenie „realistów” na wydziały fizyczno-matematyczne uniwersytetów.

Niezależnie od tego prądu, rozwija się inny, domagający się zasadniczej zmiany systemu szkół średnich. O sile jego powiać można wyobrażenie z tego, że petycja, domagająca się reformy, zainicjowana przez „Niemiecki związek akademicki” wraz z „Biurem niemieckiej reformy szkolnej”, miała 23,000 podpisów. Zwolennicy klasycyzmu usiłowali przeciwstawić tej petycji inną, żądającą tylko ulepszeń systemu obecnego. Petycja ich miała zaledwie 4 tysiące z czemś podpisów, w tej liczbie 518, a zatem mniej, niż połowę wszystkich profesorów uniwersyteckich. Zwolennicy reformy dzielą się na kilka stowarzyszeń. Na czele jednego z nich, („Powszechnego związku niemieckiego) reformy szkolnej” stoi znany fizjolog Preyer, który po raz pierwszy rozwinął swe poglądy w r. 1887 na zjeździe przyrodników w Wiesbaden. Zdaniem jego dawna „kosmopolityczna” szkoła, wyczerpująca uczniów fizycznie i nie związana z życiem obecnym, ustąpić musi miejsca nowej szkole „narodowej”. Poznanie przyrody i kraju własnego, jego dziejów i literatury oto główna podstawa wykształcenia szkoły „narodowej”. Dla języków starożytnych nie ma w niej miejsca, zastępują je języki nowożytnie. Inne stowarzyszenie, z Petersem i Langem na czele, stawia żądanie nowego i jedynego typu szkoły średniej, w której tylko 3 wyższe klasy dzielą się mają na oddziały, przygotowujące uczniów do różnych wydziałów uniwersytetów, lub też do wyższych szkół technicznych. Języki starożytne wykładane byłyby tylko w ciągu trzech ostatnich lat, przytem grecki li tylko w oddziale filologicznym. Niedawno powstałe we Francji „narodowe stowarzyszenie reformy wykształcenia średniego” stawia żądanie zupełnie analogiczne. Języki: francuzki i inne nowożytnie powinny zastąpić języki starożytne w szkole, która ma dawać w niższych klasach wykształcenie ogólne, dla wszystkich jednakowe. W wyższych tylko klasach, gdy zdolności i upodobania uczniów już się okazały, każdy z nich może wybierać oddział, który przygotowuje go do wyższych studyjów w obranej przezeń specjalności. Na czele stowarzyszenia stoi Jerzy Berger, były komisarz ostatniej wystawy, w liczbie zaś członków widzimy byłych ministrów: Gobleta, Lockroy i Flourensca, znanego ekonomistę Passy i wielu uczonych, deputowanych, literatów i nauczycieli. Ruch reformatorski, który objął całą niemal Europę, zasługuje na baczniejszą uwagę, zapewne też wrócimy jeszcze nie raz do niego, dziś jednak ograniczymy się na kilku słowach powyższych, chciałbym bowiem wspomnieć jeszcze o dokonanej przez trzecią rzeszopolitą reformie wykształcenia wyższego, tak ciekawej i tak mało znanej u nas.

Średniowieczne uniwersytety francuzkie zniknęły wraz z innymi instytucjami w czasie wielkiej rewolucji, nowa zaś organizacja wyższego wykształcenia ostatecznie ustalona została za pierwszego cesarstwa. W istocie swojej nowy system przedstawiał szereg rozrzuconych bezładnie po całej Francji szkół specjalnych, noszących wprawdzie miano wydziałów (fakulte-

tów), niczem jednak ze sobą niezwiązaných. Głównem zadaniem zaś nowych szkół było nie tyle udzielanie wyższego wykształcenia, a tymbardziej nie przygotowanie do samodzielnych badań naukowych, ile udzielanie stopni naukowych, dających prawo do zajmowania pewnych stanowisk w społeczeństwie, lub też do wykonywania pewnych profesyj. Restauracja nie zmieniła w organizacji fakultetów, zmniejszyła tylko ich liczbę. Rządy późniejsze zwiększyły znowu liczbę szkół i parę razy zamierzały przystąpić do poważnej reformy, która jednak nigdy nie nastąpiła. Najgorliwiej zajmowało się tą sprawą drugie cesarstwo w przededniu swego upadku, w chwili zwrotu do liberalizmu. Ówczesny minister oświaty, Duruy był gorliwym zwolennikiem reformy i umiał dla niej wzbudzić interes powszechny. Wojna z Niemcami nie pozwoiliła mu jednak dopełnić zamierzonego celu. Na seryjo podjęła reformę trzecia rzeszopolita. Charakterystycznym jest, że jedną z ważniejszych pobudek do energicznego przeprowadzenia sprawy było przyjęcie przez klerykalną wówczas izbę prawa o wolności wyższego wykształcenia. Na podstawie tego prawa powstać zaczęły wolne uniwersytety katolickie. Państwo poczuło wówczas potrzebę emulacji i skwapliwie przystąpiło do reformy. Czas był też wielki. Ówczesny stan fakultetów był pod każdym względem opłakany. W całej Francji nie było ani jednego fakultetu, mającego odpowiednie pomieszczenie. W Paryżu fakultety: literacki (odpowiadający naszemu historyczno-filologiczemu) i naukowy (czyli fizyczno-matematyczny) dusiły się w starej Sorbonie, wzniesionej jeszcze przez Richelieu'go. Mury paryskiej szkoły farmaceutycznej literalnie rozsypywały się w gruzy. Na prowincji fakultety mieściły się w najrozmaitszych kątach, w częściach dawnych klasztorów, lub ratuszów. Fakultet literacki składał się zwykle z wielkiej sali odczytowej, małego gabinetu profesora i łoża pedera. Żadnej sali do studyjów, żadnej biblioteki! Pod względem naukowym toż samo ubóstwo. Fakultety medyczne, oprócz sal wykładowych i klinik, nie posiadają prawie nic więcej, laboratoria i pracownie są rzeczą zupełnie nieznaną, wychowują one jedynie lekarzy-empiryków „urzędników zdrowia” i tylko. Fakultety prawne cały czas poświęcają na studyjowanie kodeksu i komentowanie go, chodzi im bowiem o kształceniu urzędników tylko i adwokatów. Prawo rzymskie wyklada się w rozmiarze potrzebnym dla celów praktycznych. Historia prawa, prawo konstytucyjne, nauki społeczne są rzeczą zupełnie niespotykaną. W całej Francji była jedna katedra ekonomii politycznej w Paryżu! Jeszcze gorzej przedstawiają się fakultety: naukowy i literacki. Na pierwszym z nich jest 3 lub 4 katedry i ten sam profesor wyklada botanikę, zoologię i geologię. Na drugim 5, 6 katedr, na barki jednego profesora spada cała historia z geografją w dodatku. Mówimy o wykładach, właściwie jednak profesorowie nie mieli kogo uczyć, bo studentów w naszym znaczeniu tego słowa na fakultetach tych wcale nie było. Na lekcje profesorów uczęszczała szeroka publiczność, o ile umieli oni ją pociągnąć błyskotliwością formy, artystycznym, lub oryginalnym obrobieniem przedmiotu. Jaka to publiczność przyetem. Liard opowiada, że, będąc profesorem filozofii w Bordeaux, miał z początku licznych i jak mu się wydawało bardzo ważnych słuchaczy. Niebawem jednak przekonął się, że gdy wojsko przechodziło w pobliżu audytoryjum, na dźwięk muzyki całe niemal audytoryjum opuszczało salę i nie wracało więcej. W Paryżu znani są powszechnie „stali” słuchacze wszystkich następujących jeden po drugim wykładów, szukający w salach uniwersytetu nie wiedzy, lecz ogrzanego powietrza. Profesorowie fakultetu naukowego w znacznej części nie umieli wcale zgromadzać publiczności na wykłady i cały też czas przesiadywali u siebie w domu, lub w laboratorjach, z rzadka tylko zjawiając się do fakultetu dla uczenia korepetytorów (pomoćników nauczycieli) gimnazyjalnych, najczęściej wcale do wyższych studyjów nieprzygotowanych. Istotne obowiązki profesorów polegały na egzaminowaniu kandydatów, ubiegających się o stopnie naukowe, jeżeli takowi się znaleźli. Temu stanowi rzeczy odpowiadały też środki pomocnicze. Fakultet na-

ukowy w Bordeaux otrzymywał około r. 1865—400 franków rocznie na kolekcje, taki sam fakultet w Lille na instrumenty fizyczne—350 fr. Fakultet prawny w Paryżu wydawał rocznie 1000 fr. na bibliotekę i nie posiadał żadnego pisma zagranicznego. Fakultet naukowy paryżki na lekcje i laboratoryja miał 8,930 fr., na kolekcje 1,500, na pisma 160 fr. W tymże czasie marsylski i lyjoński wydawały po 1,800 fr. na lekcje i laboratoryja, i nie miały wcale funduszów na biblioteki.

Z danych powyższych widzimy, jak trudnym było zadanie rządu republikańskiego, musiał on od razu reformować wszystko, stan bowiem uniwersytetów był pod każdym względem tak opłakany, że, gdyby nie urzędowe dane, stwierdzające każdy z powyższych szczegółów, nie moglibyśmy w to wprost uwierzyć. Ogólne zainteresowanie sprawą pomogło jednak rządowi osiągnąć bardzo poważne rezultaty. Na same wzniesienie nowych i przebudowanie starych gmachów w ciągu kilkunastu lat wydano przeszło 88 milionów franków, większą część tych wydatków pokryły miasta i departamenty, rząd bowiem na ten cel wydał zaledwie 41½ milij. Budżet uniwersytecki, który w r. 1871 wynosił zaledwie 4,300,000 fr., zwiększany był nawet w pierwszych latach rzeszypospolitej, gdy musiała ona przedewszystkiem myśleć o środkach na pokrycie kontrybucji wojennej. W r. 1875 budżet wynosił już 5,125,000 fr. Reforma, jakęśmy już powiedzieli, rozpoczęła się na dobre dopiero od czasów przyjęcia prawa o uniwersytetach wolnych. Rzeczywiście już w r. 1877 budżet uniwersytecki wzrósł nagle do 7,799,180 fr. Od tego czasu zwiększał się stopniowo dalej z małemi tylko wahaniami. W r. z. wynosił on 11,391,495 fr., blisko 3 razy tyle; co w r. 1870. W porównaniu z budżetem pruskim np. jest to jeszcze nie tak wiele, w każdym razie postęp kolosalny. Szczegółowe rozpatrzenie reformy zadaleko by nas zaprowadziło, powiemy więc tylko ogólnikowo, że dzięki nowym środkom usunięto wiele braków dotychczasowych. Nędzne pensje profesorskie, niekiedy nie dorównujące nawet pensjom nauczycieli liceów, zostały podwyższone, jakkolwiek obecnie nawet są one dość skromne. Wynoszą bowiem 12—15 tysięcy fr. w Paryżu i 6—11 tys. na prowincyi. Na laboratoryja, kolekcje i biblioteki przeznaczono znaczne sumy, powstało przytem kilka nowych szkół wyższych. Daleko donioslejszą jest jednak reforma wewnętrzna.

W fakultetach medycznym i prawnym główną zmianą jest stworzenie nowych katedr, laboratorjów i pracowni. Na fakultetach naukowym i literackim zmieniono daleko więcej. Jakaś już powiedzieli, praca profesorów ograniczała się tam do czytania wykładów publicznych i egzaminowania. O przygotowywaniu samodzielnych badaczy naukowych, o zaznajamianiu słuchaczy z metodami naukowymi—nie było mowy. Dziś rzecz ma się zupełnie inaczej. Powiększono przedewszystkiem liczbę katedr. W dawnych tylko fakultetach liczba ich powiększyła się o 67. Dla przykładu przytoczymy nowopowstałe katedry w Paryżu, a mianowicie na wydziale prawnym: 4 katedry nowe, tj. prawa administracyjnego, konstytucyjnego, pandektów i finansów; na medycznym—chorób dzieciennych, kliniki oftalmicznej, chorób syfilitycznych i skórnych, chorób nerwowych, wreszcie chorób umysłowych; na wydziale naukowym—chemii organicznej i fizjologii chemicznej, na literackim—literatury Europy północnej, historii filozofii, historii wieków średnich, historii współczesnej, archeologii, języka i literatury francuskiej w wiekach średnich, sanskrytu i gramatyki porównawczej, pedagogiki. Oprócz tych katedr obsadzonych przez profesorów, których według naszej terminologii, nazwalibyśmy zwyczajnymi, otworzono t. zw. uzupełniające i, co najważniejsza, konferencyje. Te ostatnie odpowiadają „seminaryjom” uniwersytetów niemieckich, tj. są to zajęcia praktyczne, prowadzone pod kierownictwem specjalnych profesorów (maitres de conferences), mające na celu oznajmienie uczniom z metodami badań naukowych. Tych ostatnich od r. 1877 utworzono 129. Dla przykładu wymienimy uniwersytet lyjoński. Na

wydziale naukowym jest tam obecnie 5 konferencyj, a mianowicie: z chemii przemysłowej, zoologii, matematyki, fizyki i mineralogii. Na wydziale literackim 7, tj: filozofii, pedagogii, historii nowożytnej, jęz. greckiego, angielskiego, gramatyki i egiptologii. Życie naukowe uniwersytetów koncentruje się obecnie głównie w konferencyjach. Już nie szeroka publiczność, lecz studenci stanowią podstawę działalności profesorskiej. Jednocześnie zmieniono stanowisko profesorów. Nie są już oni izolowanymi urzędnikami, nie spotykającymi się prawie wcale, ale stanowią ciałą, rządzące i kierujące zarówno fakultetami, jak i uniwersytetami. Przed wojną w całej Francyi było tylko 2 uniwersytety kompletne: w Paryżu i Strasburgu, jest ich obecnie 4, i dążność do koncentrowania porzucanych bezładnie fakultetów w jedną całość, jedno „ognisko wiedzy” wciąż się przejawia. Zakładom tym nadano też prawa „osoby moralnej”, mogą więc one przyjmować zapisy filantropów i subwydają od miast i departamentów. Władze autonomiczne w całej niemal Francyi przychodzą uniwersytetom z pomocą, zakładając stypendyja dla studentów, lub nowe katedry. W ten sposób np. powstały w Paryżu katedry historii wielkiej rewolucyi i biologii ogólnej, opłacane przez radę miejską, w Tulonie katedra jęz. hiszpańskiego, w Bordeaux historii południowego zachodu Francyi, w Rennes katedra jęz. celtyckiego, opłacana przez trzy departamenty bretońskie i t. d. Życie naukowe podniosło się w ogóle znacznie, profesorowie rozmaitych uniwersytetów łączą się i podejmują wspólne prace, wymagające zrzeszenia sił i znajdują pracowników w fachowo przygotowanych studentach. Zjawili się bowiem i ci ostatni. Przed reformą na wydziałach: naukowych i literackim nie było ich wcale. Kandydaci tylko do stopni licencyjatów w wiliży egzaminu płacili od razu 4 opłaty, wymagane przez rząd i figurowali w statystyce jako studenci. Liczba ich wynosiła 100—150 na wydział w całej Francyi. Obecnie na fakultetach literackich jest 2,358 studentów i 1335 na naukowych. Z początku studentów werbować musiano za pomocą stypendyjów, dziś jednak liczba studentów płatnych wciąż wzrasta. Już nie zdają oni egzaminu tylko, ale się uczą naprawdę.

Nowe życie zawrzało też wśród studentów. Izolowani dotąd, nie mający nic między sobą wspólnego, łączą się oni obecnie w stowarzyszenia. Najgodniejszym uwagi jest stowarzyszenie paryżkie, łączące wszystkich studentów w celach towarzyskich, naukowych i pomocy niezamożnym kolegom. Lokal stowarzyszenia składa się z dwóch oddzielnych mieszkań. Jedno przeznaczone jest na zebrania towarzyskie, czytanie dzienników i powieści i t. p., drugie składa się z szeregu sal, przeznaczonych dla uczenia się. W sali geograficznej np. znajdujemy specjalną bibliotekę, masę map i globusów. W medycznej znowu biblioteka, szkielety; toż samo w salach: historycznej, prawniczej, lingwistycznej i t. d. Jaką ogromną pomoc w studiach stanowią te sale, nie potrzebujemy chyba dowodzić. Niezależnie od tego potworzyła się masa kółek, zajętych badaniami kwestyj oddzielnych, lub biorących wspólnie lekcje jakiego przedmiotu. Stowarzyszenie otwiera przed nimi gościnnie swoje podwoje i życie naukowe silnie się rozwija. Kwestyje religijne i polityczne są, według statutów, zupełnie usunięte. Nie wydaje się to nam bardzo właściwym. Czynne wtrącanie się studentów do polityki jest we Francyi, mniej niż gdziekolwiek, potrzebne z drugiej strony jednak właśnie podczas pobytu w uniwersytecie powinni studenci wyrobić swe przekonania polityczne i do życia praktycznego wstępować już z określonymi sympatjami i poglądami. W Anglii np. studenci dyskutują nad wszelkimi kwestyjami i w swych klubach wyrabiają przekonania, talenty krasomówcze i t. d. Stowarzyszenie paryżkie cieszy się ogólnym poparciem. Na czele jego przy założeniu w r. 1887 stanął znakomity Chevreul, ministrowie i sam prezydent rzeszypospolitej zwiedzali lokal, wyrażając najżywszą sympatję. Miasto daje stowarzyszeniu 2000 fr. subwydium rocznie. Redakcye i autorowie przysyłają mu pisma i książki bezpłatnie i t. d. Niekiedy stowarzyszeniu porucza się wykonanie pewnych społecznych nawet obowiązków. Podczas wystawy miasto rozdawało bezpłatnie bilety wejścia nie-

zamożnym dzieciom za pośrednictwem studentów. Do ich też rozporządzenia wyasygnowano w r. z. 50 tys. fr. na przyjęcie studentów zagranicznych. Dla cudzoziemców studenci paryżki są w ogóle bardzo uprzejmi. Każdy, przybywający na czas jakiś do Paryża, student bez żadnych formalności otrzymuje miano „membre passager” i ma prawo do korzystania ze wszystkich zasobów stowarzyszenia.

J. H. Siemieniecki.

Korespondencje „Głosu”.

Mińsk 1890 r.

(Mińskie Towarzystwo wspierania uczniów).

Nie wiem, czy to wskutek szczególnych warunków, czy też szczególnych właściwości ducha, lub może z połączenia obu tych czynników razem—dość, że społeczna działalność inteligencji miejscowej uwydatnia się w znacznej swej części w formie towarzystw i instytucyj filantropijnych, towarzyskich (Towarzystwo muzyczno-dramatyczne) i religijnych. O dwóch ostatnich kategoriach mówić nie będę, ponieważ przechodzą zakres mojej kompetencji, zajmę więc uwagę czytelników stroną filantropijną tej działalności.

W nadziei, że nie poskąpicie mi miejsca, przesyłam Wam na razie króciutką historję jednej z najsympatyczniejszych (w zasadzie) u nas instytucyj prywatnych, mianowicie: *Mińskiego towarzystwa wspierania uczniów*.

Towarzystwo to zostało założone w roku 1875 staraniem pewnego grona ludzi i, podobno, z inicjatywy pani Korba, żony głównego wówczas rachmistrza zarządu L. Rom. kolei¹⁾, przyczem ta pani była zarazem pierwszym Towarzystwa prezesem.

Ustawa, zatwierdzona przez władzę, przedstawia kilka ciekawych i nader sympatycznych punktów. Tak, np.: opieka nad biedną uczącą się młodzieżą rozciąga się, w zasadzie przynajmniej, na wszystkie bez wyjątku zakłady naukowe, znajdujące się w obrębie gubernii mińskiej (§ 1), bez różnicy płci, wyznania i narodowości. W tym celu Towarzystwo zobowiązało się: wnosić za biednych wymagane wpisowe; niemającym dostarczać podręczników szkolnych i t. p. przedmiotów pomocniczych po cenie możliwie najtańszej, lub bezpłatnie; udzielać uczniom płci obojej zapomogi w formie jednorazowych i miesięcznych wsparć w pieniądzech lub rzeczach i wydawać zapomogi kształcącym się w zakładach wyższych lub pragnącym wstąpić do takowych, a nadto ułatwiać wyszukiwanie posad i zajęć fachowych, o ile b. wychowawcy Towarzystwa zgłoszą się o to.

Jak widzimy, program działalności jest nader obszerny i urozmaicony; to też z tak szerokimi zamiarami Towarzystwo „wspierania” zyskało, jeżeli nie od razu, to dosyć szybko, sympatję ludności miejscowej i poparcie w postaci licznych zapisów na członków, lub ofiar jednorazowych; w liczbie tych ostatnich znajdujemy nawet kwoty, pochodzące od osób mieszkających po za obrębem gubernii. Zarząd Towarzystwa okazał również zapał i gorliwość, i to w dość długim okresie czasu, wbrew znanemu nie od dziś właściwości naszej rasy—opiekałości.

Rozumie się, że i tu, jak wszędzie prawie, początek był najtrudniejszy: trzeba było zwalczyć sceptycyzm jednych, usunąć skąpstwo innych—słowem, Towarzystwo musiało wpiąć wywalczyć stanowisko i uznanie; było to czas nieznosnie dlań ciężkie, bywały nawet chwile, kiedy najgorliwsi promotorowie sprawy wpadali w zwątpienie, ażali Towarzystwo potrafi się utrzymać. Tak w latach 1876—77 fundusze były do tyłu szczupłe; że aż musiano sprzedać 6 biletów Tow. kred. ziemsk., stanowiących *kapitał zakładowy*, i to po nominalnej ich cenie. zaś w roku 1878 na utrzymanie uczącej się młodzieży Towarzystwo mogło wydać tylko 458 rs.

Jak to już powiedziałem, pierwszym prezesem była pani Korba, lecz, wskutek nieszczęśliwych

¹⁾ Oprócz tego, niewiadoma osoba z Petersburga nadała tysiąc rubli w papierach procentowych na rzecz nowopowstałej instytucyi.

¹⁾ Zadanie to spełniała paryżka szkoła normalna, wypuszczająca rocznie po 10—15 wychowawców z każdego wydziału.

dla niej okoliczności, musiała wkrótce złożyć ten urząd w inne ręce. Czynną to była niezmiernie osoba, żaluję też mocno, że nie posiadam danych, któremby mógł bardziej uwydatnić jej usiłowania.

W roku 1879 na czele Towarzystwa widzimy już p. Rejchnau, ówczesną dyrektorkę gimnazjum żeńskiego w Mińsku. Jedną z główniejszych czynności nowego prezesa było zwrócenie uwagi na macosze dotychczas traktowanie potrzeb gimnazjum żeńskiego, pomimo, że uczenie z tego zakładu nie miały tych ulg, jakie daje swym wychowankom gimnazjum męskie, jak: zwolnienie od wpisowego, stypendya obywatelskie i t. p. Wskutek tego suma wpisowego za biedne gimnazystki znacznie wzrosła, jak również znacznie zwrócono uwagę na ich potrzeby domowe, jak: książki i t. p., a nawet do niektórych uczenie została najętą korepetytorka. W ogóle ze sprawozdania za rok 1879 widzimy, że jakkolwiek jeszcze się nie zatarły ślady poprzedniego kryzysu, i pomimo niewielkiej ilości członków (150 osób¹⁾, Towarzystwo o tyle się wzmoгло, iż zdołało zaopiekować się 8 zakładami, a nadto dopomogło jednemu studentowi i paru studentkom, zaś kilku wychowanków ze szkół niższych oddało do rzemiosła, przy czem sprawozdanie zaznaczyło charakterystyczny szczegół, że zapotrzebowania rzemieślników znacznie przewyższały podaż ze strony młodzieży, która widocznie wstydziała się pracy ręcznej.

Po p. R., która dobrowolnie ustąpiła z zajmowanego stanowiska z powodu nawału zajęć pedagogicznych, prezesem Towarzystwa została obraną pani Bałkaszynowa, żona ówczesnego dyrektora kolei L. Rom. Światowa ta dama wzięła się energicznie do zwiększenia dochodów Towarzystwa. Posypały się więc bale, przedstawienia amatorskie i t. p. przynęty dla publiczności; jeden z takich wieczorów przyniósł 600 rubli czystego dochodu, skutkiem czego Towarzystwo poczuło się w możności zwrotu kapitału zakładowego. Inni członkowie zarządu również okazywali gorliwość. W roku 1880 widzimy już znaczną poprawę: na rzecz biednych uczniów Towarzystwo wydało wcale pokazną sumę 2618 rs. 86 kop., z których:

na katolików	przypadło	1685	rs. 99	kop.
na prawosławnych		701	„ 7	„
na żydów		166	„ 75	„
na luteranów		65	„ 5	„

Zaś w dniu 1 stycznia 1881 r. kasa Towarzystwa miała w zapasie 1030 rubli.

Od tej chwili działalność Towarzystwa rozszerza się coraz bardziej. Po p. B., która z powodu wyjazdu złożyła swój urząd, prezesem został obwołany p. von Rotkirch, i z niezmierną gorliwością prowadził dalej sprawę rozwoju Towarzystwa. Świetne to były czasy dla uczącej się młodzieży. Z jednej strony zapisy na członków i znaczne ofiary sypały się, jak z rękawa, gdy z drugiej — nie pytano: z kąd biedak pochodzi, i czy lub jak się żegna, byle był biednym i przedstawił dobrą cenzurę szkolną. Tak ze sprawozdania za rok 1883 widzimy, że do 15 maja 1884 roku Towarzystwo liczyło poważną liczbę 475 członków, i miało ich więcej z pewnością, gdyby zechciało szerzej zająć się zakładami zamiejscowymi. Dzięki temu wszystkiemu w roku sprawozdawczym kasa Towarzystwa miała już cztery tysiące rubli w rubryce dochodów. Wprawdzie ze wszystkich zakładów w gubernii tylko cztery miejscowe cieszyły się opieką Towarzystwa, ale za to każdy z nich otrzymał wzmocnione uposażenie; tak:

gimnazjum żeńskie	miało	1474	rs.
„ męskie	„	932	„
4 kl. szkoła miejska	„	306	„
szkoła realna	„	260	„

Podług wyznań, ogólna summa 2972 rs. przedstawia się tak:

katolicy	otrzymali	1512	rs.
prawosławni		1140	„
żydzi		240	„
luteranie		80	„
mahometanie		20	„

Oprócz tego, na rok następny pozostało około 3000 rubli. Jeżeli porównamy z sobą pozycje

¹⁾ Do tak małej ilości członków, prawdopodobnie, przyczyniła się pierwotna, 10-cio rublowa, norma wpisowego członków rzeczywistych.

remanentu, to zauważmy, iż Towarzystwo zaczęło baczniejszą zwracać na przyszłość uwagę. Z inicjatywy kasjera p. Neymana Towarzystwo poczęło odkładać pewną kwotę corocznie dla wzmocnienia kapitału zapasowego, a więc zaprzestało dotychczasowej taktyki: „Maciek zrobił — Maciek zjadł”.

W roku 1884, w charakterze przewodniczącego zastajemy pana Adaduruwa, dyrektora dr. L. Rom., który stanowisko to zajmuje do dziś dnia. Rok powyższy i następny 1885, był kulminacyjnym i, niestety, ostatnim okresem w dziejach rozwoju Towarzystwa wspierania: ani przed tem, ani po tem nie było tak świetnych dochodów i tak szczerze nie sypano na rzecz uczących się, co zresztą potwierdzą następujące cyfry:

w r. 1884	było: doch.	6857	rs.,	wyd.	4023	rs.
„ 1885	„	6817	„	„	5432	„

Tak więc przebiegliśmy pokrótce okres dziesięcioletni działalności Towarzystwa. Były w nim wady i usterki, zawisli i niechęci, w ogólnej wszakże masie czynów szlachetnych chwasty te tonęły, jak kropla w morzu. Byli uprzedzeni, czy też zawistni o honorowe dostojenstwa, którzy źdźbła podnosili do wielkości belki, lecz byli i tacy, którzy w pracy nad ulżeniem doli biednych, a żądnych nauki, widzieli obowiązki obywatelskie; do tych ostatnich, wśród członków zarządu, należy bezwątpienia doktor Juljan Neyman; z innych członków zarządu wyróżnić należy pp. Władysława i Pietraszkiewicza.

Dziesięć lat istnienia dla całkiem prywatnej instytucji zbiorowej — to nie żarty! Więc zarząd Towarzystwa, podobno z inicjatywy ostatniego prezesa, urządził uroczysty obchód 10-letniego jubileuszu. Niestety! dziękczynne modły były jednocześnie śpiewem łabędzim świetnej przeszłości, były to, wyrażając się językiem satyryków miejscowych — exekwie po zgasłej dobie... Od tej chwili, jak nożem uciął: o działalności zarządu publiczność prawie nie wie, bo nawet od paru lat (bodaj że od roku 1887) niema sprawozdań, niema również ogólnych zebrań dorocznych, § 31 ustawy zastrzeżonych (ostatnie było w roku 1886), tak, że niektórzy członkowie zarządu, niemając nadal mandatu, usunęli się — nie wszyscy jednak okazali się tak drażliwymi i wybrednymi... Uległa również znacznej redukcji liczba członków Towarzystwa w ogóle. W tem miejscu nie od rzeczy będzie zaznaczyć dziwne dla mnie zjawisko: niektórzy z członków zarządu, jak to już wspominałem, usunęli się jeszcze w roku 1887; tymczasem w „Pamiętniej kniżce Mińskiej gub. za rok 1889” te same osoby figurują na liście członków zarządu na tych samych stanowiskach! Czyżby to była omyłka druku?...

Z tego, com wyżej powiedział, widać, że coś się w „państwie duńskim” popsło, ale co mianowicie, opowiedzieć nie umiem. Powiadają na przykład niektórzy, że do ostygnięcia zapалу przyczynił się, po części, znany okólnik, w którym zalecono przyjmowanie do szkół młodzieży przeważnie zasobnej, że więc działalność Towarzystwa w takim razie okazuje się zbyteczną prawie. Ależ po za zakładami średnimi, o które okólnikowi głównie idzie, są całe szeregi szkół ludowych, miejskich i fachowych, że już nie mówię o pensjonatach prywatnych, a nadto znajdują się i tacy, którzy po ukończeniu jednego z powyższych zakładów będą potrzebowali opieki na dalszej drodze. W kwestyi więc zaniedbania spraw Towarzystwa tkwią jakieś inne, nieznanne mi przyczyny.

Dość, że znana nasza opieszałość znalazła wdzięczne pole do popisu, jakkolwiek i wpród już dawała znaki życia: tak w roku 1886 na ogólnym zebraniu ówczesny kasjer p. Neyman skarży się w referacie swym, iż wielu członków Towarzystwa nie chce badać „toku spraw”, lecz zadawalnia się jedynie ostatecznymi wynikami, utrzymując, iż „od tego jest zarząd, niechże on rządzi z całą rozważą dla ogólnego dobra”. Co za cudowne świadectwo własnego niedołęstwa.

Stanisław Wiśniewski.

...A więc ster spoczywa w ręku katolickiego kleru.

Powiedzieliśmy wyżej: „wybierając z dwójga złego.” Mówiąc to, uważaliśmy kierownictwo tych rąk za nieodpowiednie dla sprawy narodowej. Ale przyznać trzeba, że lepszym jest ich kierownictwo od żadnego, od zaniedbania się, od bezczynności, od martwoty. Jakkolwiek bądź się dzieje, przyznać trzeba, że kler — to wielka siła; agitacja jego jest potężna, trafi do każdego zakątka, obudzi uczucie w prostym, biednym góralu, roznamiętni watacha i lacha. A chociaż sprawa ojczyznojęzyka jest stawianą na drugim miejscu, to jednakże jest stawianą, — a i to coś znaczy.

Przypatrzmy się teraz głównym kierownikom i ich robocie.

W dniu 12 lutego, we środę o godzinie w pół do trzeciej po południu odbyło się walne zgromadzenie związku szlacheckich katolików w sali domu *blagosławionego Jana Sarkandra* (tak się nazywa jedno ze stowarzyszeń) na starym targu w Cieszyńsku. W dużej, pięknej sali zebrało się około trzystu osób. Na gęsto ustawionych krzesłach zasiadli mieszcianie, siedlacy, górale i księża. Uderza nas dziwna rozmaitość. Niema tu jednego etnograficznego typu, lecz wielość, dowodząca różnoplemiennego pochodzenia. Czaszki podługowate (germańskie) pomieszane z okrągłymi (słowiańskimi); tam widzimy bruneta górala o klasycznych rysach twarzy, owdzie zaś mieszczanina blondyna, z zadartym nosem i występującymi kośćmi policzkowymi. Zanotowana tu przezemnie różność typu ma podrzędne znaczenie wobec mieszaniny plemiennej, jakiej wszystkie narody podległy; jednakże ta różność jest bardziej skrajną i wielorodną w Cieszyńskim, niż gdzieindziej.

Wpłynęło na to głównie położenie geograficzne; albowiem na południu, pod Jabłonkowem jest ów sławny przesmyk górski, przez który szła jedyna droga do Węgier, droga handlowa, droga wędrowni ludów i droga pochodów wojennych.

Godzina w pół do trzeciej. Co chwila drzwi się otwierają i wchodzi coraz nowy ksiądz proboszcz, wiodąc za sobą gromadkę parafijan. Sala już przepelniona; nowoprzybyli stoją dla braku miejsca.

Na mównicę wstępuje ksiądz Świeży (poseł do sejmiku i do parlamentu) i zagaja posiedzenie.

Ks. Świeży — osobistość to znana powszechnie jako pedagog, dzielny mówca parlamentarny, i jako pierwszorzędny humorysta, występujący bezimiennie w łamach *Gwiazdki*. Dowcipne rozmowy Jury z Jankiem są w znacznej części jego pióra, a „Podróż do Paryża” w tejsze *Gwiazdce* pełną była werwy, oraz głębszych aluzji społecznych i politycznych.

Przyjrzyjmy się mówcy. Lat czterdzieści kilka, wzrost wysoki, budowa silna, brunet o czarnym oku, o głowie dużej, czole wysokim, pięknie sklepieniem. Włosy ma rzadkie, długie i niedbale ku tyłowi zaczesane. Wogóle w ubiorze, w całym zachowaniu się znać pewnego rodzaju nonszalancyję, zaniedbanie. Nie pozuje, nie zajęty swą osobą; czuć jednak z każdego ruchu, że to osobistość nie powszednia. Nic to dziwnego: z tak zbudowaną czaszką, przy wyższym wykształceniu, nie można być pospolitym człowiekiem!

Z tem wszystkiem jeden zarzut można zrobić ks. Świeżemu: jest on trochę... jakby to powiedzieć... zanadto ociężały. Nie zawadziłoby więcej energii w parlamencie i sejmie, oraz większej płodności na szpaltach *Gwiazdki*.

Po zagajeniu posiedzenia obrano na wniosek księdza Kuczery jednogłośnie na przewodniczącego Halfara, siedlaka z Poręby. Średnich lat, tłuśny, o okrągłej, wygolonej twarzy, wszedł, posiłkując się zamasztytymi a niewyrobnionymi gestami, na mównicę, i podziękował za okazany mu zaszczyt — poczem dał głos księdzu Fuzonowi, skarbnikowi. Z przyjemnością zawsze patrzeć na księdza Fuzonia, gdyż widzę w nim młodzieńca, w którym zdrowie fizyczne zespała się proporcjonalnie ze zdrowiem moralnym. Odczytał on sprawozdanie za rok miniony.

Po nim wstąpił na trybunę ks. poseł Świeży i jał mówić o wyborach, które w roku bieżącym

będą miały miejsce. Mówił o krzywdach, jakie się nam dzieją z powodu większości liberalno-niemieckiej w sejmie. „Gdy oberzemy pięciu posłów, to będziemy mieli jednego członka w wydziale. Dotychczas w wydziale krajowym nie mieliśmy żadnego, a więc gospodarzono w kraju i rządono bez nas.”

Mówca stawia wniosek co do utworzenia centralnego komitetu wyborczego.

Następują debaty.

Przyjęto wniosek ks. proboszcza Rducha: „centralnym komitetem ma być wydział związku, który, według uznania i potrzeby, ma dobrać sobie do pomocy mężów zaufania z całego Szlązka.”

Z kolei wstąpił na mównicę wysoki szczerup proboszcz z Mostów, ks. Duś, i zaczął mówić na temat: „Dla czego powinniśmy żądać równouprawnienia językowego w sądach, urzędach i szkołach na Szlązku?”

Mowa ta, wypowiedziana niezbyt czystym językiem polskim, lecz za to z wielkim talentem oratorskim, zrobiła olbrzymie wrażenie. Szanowny proboszcz okazał się gorliwym patrijotą polskim, nieszczędząc nikogo, kto dla małostkowych względów poświęca sprawę języka i wogóle narodowości. Niektóre ustępy z jego mowy nacechowane rubaszną werwą, wywołały zapal w słuchaczach, lecz jednocześnie obrzuciły niektórych duchownych. Proboszcz z Hnojnika ks. Paździora, (ten który zredagował „Posła trzynastego”, i nawymyślał polakom-ewangelikom od lutrów) starał się przerwać mowę, przez co wywołał gorszącą scenę... Gdy mówca dalej rzecz swą prowadził ku zadowoleniu całego audytoryjum, ksiądz Paździora chwycił za czapkę i z nietajoną furją wybiegł z sali.

Żywo mi stoi w pamięci jeden ustęp z mowy zacnego plebana. Zwrócił się on do kolegów proboszczów i rzekł:

— Wybaczcie mi, wielbni panowie, iż zajrzę do naszych spraw domowych... Gdy do proboszcza przyjdzie chłopak szlązki po akt urodzenia, czy dostaje rzeczywście akt urodzenia? Nie. On dostaje *Taufschein!* My sami przez nałóg podtrzymujemy germanizację!

Gdy ks. Duś skończył i zeszedł z mównicy, zauważyć się dały trzy fakty:

1. Przeciągle brawa z całej sali.
2. Powrót księdza Paździora z sieni.
3. Nieobjęte programem i niespodziewane wejście na mównicę, ks. monsignora Sikory, sekretarza J. E. ks. biskupa.

Ks. Sikora, szczupły młodzik, trzymający się sztywnie i pretensjonalnie, ma twarz pospolitą. Przyszedł on na zgromadzenie w zastępstwie biskupa Śniegonia, który się wymówił chorobą.

Otóż ksiądz monsignor Sikora, dotknięty zarzutem uczynionym bezpośrednio duchowieństwu, a pośrednio kancelaryi biskupiej, uczuł się powołanym do odpowiedzi księdzu Dusowi. Ze słów jego słuchacze wyprowadzili przedewszystkiem wniosek, że trudno jest być Demostenesem. Ks. monsignor płatał się, mówił, że nie wstydz się swoich rodziców, którzy są chłopami (!) a w końcu ledwo wybrnął z labiryntu, oświadczając, że kancelaryja biskupia gotowa jest polecić pisanie metryk po polsku, jeśli... jeśli przyjdzie rozkaz z góry.

Te komiczne kawałki każą mi się obawiać, że zacny i prawdomówny ks. Duś może być narazony ze strony bezpośredniej władzy na nieprzyjemności.

Zgromadzenie ma się ku końcowi. Ksiądz Darek i wójt z Kisielowa Szwiertnia stawiają wniosek „wspólnego postępowania w sprawach narodowych i publicznych z partją narodową ewangelicką”—co *jednogłownie* przyjęto.

Zwrot ten pożądanym sprawił dobre wrażenie. Jest on dowodem, że arcyrietaktowne wybryki „Posła trzynastego” nie zgadzają się z usposobieniem ogółu katolików szlązkich, lecz są dziełem jednostki — i to tej jednostki, która wobec kilkuset chłopków szlązkich nie umie zapanować nad swą krewkością.

Wybrano tenże sam wydział — i zakończono zgromadzenie okrzykiem na cześć papieża Leona XIII i Najj. Pana.

W czasie posiedzenia w jednym z pierwszych rzędów krzesel, można było widzieć poważną postać Pawła Stalmacha. Jakto, ewangelik na zgromadzeniu katolików? Tak jest. Paweł Stalmach, zrażony odstępstwem Haasowców (stronictwo superintendenta Haasego) i widząc wielką

siłę, szybko rosnącą siłę partji katolickiej, złączył się z nią.

Paweł Stalmach—to przedewszystkiem patrijota. Gdyby ocalenie polskości na Szlązku zależało np. od żydów, jestem pewien, że Paweł Stalmach przyprawiłby sobie pejsy i poszedł do bóżnicy...

Zdaje się, że owo cofnięcie się katolików z drogi fanatycznej, ów kompromis z ewangelikami (nie-Haasowcami) jest dziełem Pawła Stalmacha.

Cześć wielkiemu patrijocie!

Gazda.

Przegląd społeczny.

Łódź. (Kor. „Głosu”). W spokojnym naszym Manchesterze zakotłowało się niespodzianie. Zawrzała straszna walka dziennikarska. *Tageblatt* pokłócił się z *Lodzercą* o korespondencję z Łodzi, pomieszczoną w *Warszawskim dzienniku*, w której zaczepiono Scheiblera, dalej poszło im też o artykuł *Moskowskich wiadomości* przeciwko Łodzi, o którym pisaliście i wy. Przytem redakcja *Lodzercy*, mając sobie nadesłany w sprawie tej artykuł niejakiego p. Lsu, odrzuciła go, a potem przyswoiła sobie treść artykułu i pomieściła, jako redakcyjny. Wymyślają sobie teraz oba pisma nalezycie. To znów *Tageblatt* stanął w obronie fabrykantów i majstrów przeciw felietoniście *Dziennika*, który powiedział, że majstrowie i fabrykanci są w zbyt blizkich stosunkach z robotnikami, skutkiem czego w Łodzi zdarzają się częste wypadki podżucania dzieci. Słowa felietonisty, najzupełniej zresztą prawdziwe, poruszyły u nas wszystkich zainteresowanych, nazwano to szkalowaniem Łodzi, krzyczano, że organ miejscowy nie powinien takich rzeczy pisać, gdyż obowiązkiem jego jest właśnie bronić miasta. Wówczas i *Tageblatt* skruszył kopię w obronie pokrzywdzonych i ostro wystąpił przeciw *Dziennikowi*. Obok tego *Dziennik* poruszył jeszcze kwestyję wypadków w fabrykach, przez własną nieostrożność skutkiem czego *Tageblatt* również wziął w obronę fabrykantów i napadał na organ polski. — W lecie będziemy tu mieli dwa teatry polskie, gdyż p. Dobrzański wydzierzał już teatr letni, a p. Kościelecki również będzie grał ze swoją trupą.

Pracownik.

Lublin. (Kor. „Głosu”). W ciągu czasu, jaki upłynął od mego ostatniego listu, wystawiono na sprzedaż tylko jedną osadę włościańską, położoną we wsi Wagnanowie, gm. Czemierniki, pow. lubartowskiego, rozległości 21 m. 177 pr., oszacowana na 5,000 rs., a sprzedawana za dług 870 rs. przez wierzyciela chrześcijanina. Jest to grunt ukazowy. *Dependent.*

Kielce. (Kor. „Głosu”). W dalszym ciągu swoich informacji donoszę o wystawieniu na licytację za długi jednej osady włościańskiej ukazowej, położonej we wsi Oblekoń, gm. Wojcza, pow. stopnickiego, rozległości 8 m. 158 pr.; oszacowaną jest na 1,300 rs., a sprzedawaną za dług należny chrześcijaninowi. *Kielczanin.*

Białobrzegi. (Kor. „Głosu”). Dobrze robicie, że staracie się o korespondencję z różnych kątów kraju, mało znanych publiczności, z różnych miasteczek i wsi. Dotychczas pod względem korespondencji uprzywilejowanymi były jedynie miasta gubernijalne i powiatowe, o reszcie zaś kraju prawie nic nie było slychać. Co prawda, to w niedźnych mieścinach niema faktów ważnych, nadzwyczajnej doniosłości, ale zawsze tu ludzie żyją, pracują, cierpią, radują się, znajduje się więc coś do napisania. Niechby tylko z każdego zakątka doniesiono, czem się tam ludzie trudnią i co czytają, a złożyłby się bardzo ciekawy obrazek. Choć to do mnie nie należy, muszę wszakże przyznać, że *Dziennik dla wszystkich* stanowi pod tym względem w prasie naszej wyjątek i pamięta o różnych zapadłych kątach. Przystępując do rzeczy, zaznaczam naprzód, iż osada nasza leży w gub. radomskiej na pograniczu z warszawską. Mieszkańców Białobrzegi liczą około tysiąca, przeważnie żydów. Całe miasteczko zbudowane jest na piaskach nad Pilicą. Kościołek mamy ładny drewniany, położony trochę z boku miasta. Mamy tu prócz parafii szkołę, pocztę, sąd i kancelaryję gminną. Ruch handlowy jest znaczny, ale tylko na jarmarkach, na które przyprowadzają zawsze sporo bydła i koni włościańskich. Szynków ledwie kilka i to wszystkie żydowskie. Grunty nędzne, piaszczyste, rzemiosła nie kwitną, to też mieszkańcy, korzystając z wód Pilicy i zajmują się przeważnie rybołówstwem, nie ma prawie domu, gdziebyś nie zobaczył narzędzi rybackich. Szczególnem jest to, iż nie tylko chrześcijanie, ale i żydzi trudnią się tym procederem. Owoce połowu sprzedawane są na miejscu żydom z miasteczka poblizkich. Miasteczko samo jest nędzne, domy drewniane, ulice niebrukowane, słowem typ miasteczka rolniczego i to jeszcze jednego z najmizerniejszych. *Jakób B.*

Końsk. (Kor. „Głosu”). Z przykrością zanotować musimy, że, jakkolwiek w mieście naszym nie brak ludzi inteligentnych, żywszego zajęcia się sprawami społecznymi zauważyć niepodobna. Kilku zaledwie uznaje potrzebę podniesienia opuszczonych rąk — coż, kiedy cała działalność obywatelska i tych nielicznych redukuje się... do wypowiedzania i to tylko niekiedy, stosownie do sprzyjających temu okoliczności, światlejszego zdania w kwestyjach, dotyczących się ogółu, lub do zaprojektowania... zabawy. Nic więc dziwnego, że oddziaływanie ich na drugich jest prawie żadne. Ci ostatni, a stanowią oni bardzo znaczną większość, zajęci powszedniemi i osobistemi sprawami i... kartami, rządzą się w życiu filozofją prawdziwie sui generis. Nic nie przedsiębrają, bo „karyjera” może być „zwichniętą” — oto ich hasło życiowe. Perswadować, że są jeszcze pola, na których przy dobrych tylko chęciach bez „narażenia się” można być użytecznym, jest to rzucić groch na ścianę. Wszelką propozycję napewno spotka lub odmowa lub identyczne z nią milczenie; wszystkiemu na przeszkodzie stoi nieszczęsną „karyjera”. — Karnawał tegoroczny rozpoczęliśmy dwoma składkowymi balami. Najcharakterystyczniejszą stroną tych zabaw była „kolejka”, od której nikt wykreślić się nie mógł, dzięki świetnemu pomysłowi — picia podług numerów: każdemu z uczestników wypisywano kredą na ubraniu odpowiedni numer i gdy wywoływano np. „dziewiątka pije”, wyfrakowana dziewczątka obowiązana była wysuwać się naprzód i spełniać kielich. A co, czy nie curicum? Po balach w celu „zblżenia się” i rozwijania towarzyskości” urządzano co tydzień u kogo innego wieczorki. „Starsze panie” zazwyczaj siadały do preferansu, więcej postępowi panowie do winta, a reszta tańczyła; w ten sposób po bożemu spędziliśmy cały karnawał. Tu dodać należy, że w tych zabawach uczestniczyła tylko „śmietanka”, ponieważ jednak przykład idzie z góry więc też i „nieśmietanka” urządziła zabawy, ale już „demokratyczne” (sic); „śmietanka” przecież musi dbać o swój honor i nie pospolitować się. W poście mieliśmy tańce zamienić lekturą i „poważną rozmową”, pierwsze jednak postne zebranie na punkcie „poważnej rozmowy” zrobiło formalne fiasco; tuszę, że inne się udadzą, gdy przymusowi uczestnicy i uczestniczki „poważnych rozmów” zasiądą do zielonych stolików. — Pism codziennych wraz z tygodniowami otrzymujemy ogółem 121 egzemplarzy. Z tej liczby na gazety i kuryjery przypada 71 egzemplarzy. Liczebny stosunek tygodniowych taki: *Bluszcz* 3, *Biesiada literacka* 10, *Głos* 1, *Kraj* 1, *Kronika* rodz. 1, *Prawda* 1, *Przegląd katol.* 3, *Przegląd tygod.* 4, *Przyjaciół dzieci* 2, *Romans* i *Powieść* 1, *Tygod. ilustrowany* 3, *Tygod. mód* 4, *Wędrownie* 6, *Wieczory rodzinne* 2, *Zorza* 1, *Życie* 1, *Mucha* 1. Z gazet najwięcej egzemplarzy przychodzi *Gazety radomskiej*. Czuć się daje dotkliwy brak czytelników — wolimy jednak dać parę rubli na bal składkowy, niż parę złotych na czytelników. — Kwestyja szpitala miejskiego, poruszana przed kilkoma laty, obecnie przeszła już do tradycyi. Kończąc, ozuję się w obowiązku zwrócić do tych nielicznych, którzy widzą zle strony naszej „śmietanki” i „nieśmietanki”, a którzy jednakże prawie nic dotąd nie zrobili na drodze pracy społecznej. — Nie wzdrażajcie się wzięć do siebie inicjatywę, wyrwijcie większość z choroby bliżej apatyj w jakiej obecnie pozostaję, nie pozwalajcie gnać przy zielonych stolikach, wypleniacie przesady kastowe, a wypełniając ten skromny obowiązek obywatelski, będziecie mieli przynajmniej to moralne zadowolenie, że choć wilk atry nie bódzie, jednak owca ocaleje. *Rathenus.*

Piotrków. Donoszą do *Kuryjera warszawskiego*, że przed sądem okręgowym piotrkowskim miesiąc temu stała mieszkanka Częstochowy, Stysińska, której sprawa podobną jest do sprawy, jaka wkrótce zapewne będzie wytoczona w Warszawie Skublińskiej. Stysińska przyjmowała niemowlęta na garnuszek, a pobierała za to wynagrodzenia, od 3 rs. i wyżej. Powierzone jej opiece dzieci umierały w ciągu kilku dni. Niektóre z tych faktów sprawdzono, a jedna z matek w cztery dni po oddaniu swego dziecka dwutygodniowego, zaszedłszy zobaczyć je, zastała dziecko wynędziałym, wychudłym i zbladłym, a w kilka dni już ono nie żyło. Sąsiedzi opowiadali, że S. głodziła dzieci, a ci, którym się udało wejść do jej mieszkania, widzieli je, leżące na zgniętej słomie pod ławą. Biedactwa po kilku dniach umierały, zwłoki zaś znikały niewiedomo gdzie, choć S. kazała sobie płacić po 2 rs. 50 kop. na koszt pogrzebu. Jednemu z niemowląt, zbyt głośno płaczącemu z głodu, urwała pół ucha. Otwarcie mówiła do zgłaszających się klientek: „U mnie tak: w dwa albo trzy dni dziecko umiera i jesteś wolna! A jak zechcesz, to może umrzeć w jeden dzień, ale to drożej kosztuje, trzeba dać 20 rs.” Procederem tym zajmowała się przez lat kilka. W 1885 r. o ile udało się sprawdzić, zmarło u niej 4 niemowląt, w 1886 r. — 4, w 1888 r. — 3, w 1889 r. — 4. Sąd okręgowy skazał S. na zasadzie art. 1514 i 1516 kod. kar. na 3 lata więzienia, z pozbawieniem wszelkich praw szczególnych.

Częstochowa. Korespondent *Kuryera wdrszawskiego* donosi, że w miesiącu tem rozlepiono ogłoszenia, drukowane wyłącznie w języku niemieckim, z których można się było dowiedzieć, że częstochowianin, p. Lucyjan Pusch, były nauczyciel gimnazjum miejscowego, obecnie emeryt, wzywa „zum Abonament auf das Buch *Katechismus des reinen Spiritualismus*.” Pojawienie się tych ogłoszeń dowodzi, że w Częstochowie Niemcy muszą być dość liczni i silni, gdy ogłoszenia oplaca się wywieszać tylko w języku niemieckim.

Wilno. (Kor. „Głosu”). W r. 1889 skończył się 6—7 rok istnienia banku włościańskiego w gub. litewsko-białoruskich. Mając przed sobą kilka sprawozdań za cały czas istnienia u nas tej instytucji, możemy wysnuć z nich kilka ogólnych wniosków. Ogólna liczba, wydanych przez bank pożyczek, wynosi 1,291, w tem 527 pożyczek otrzymały gromady włościańskie, 586—spółki, zaś tylko 192 pojedynczy nabywcy. Ogólna przestrzeń ziemi, nabytej u nas przez włościan przy pomocy banku (w r. 1883—88), wynosi 257,925 dzies., co stanowi 4,5% przestrzeni własności chłopskiej, zaś 1,1% własności ziemskiej wogóle w kraju „północno-zachodnim”. Ogółem zapłacono za nabytą ziemię rs. 5.637,732, w tem pożyczki banku wynoszą rs. 4.222,969, czyli 75% zaś dopłaty własne chłopów rs. 1.414,761. Liczba gospodarzy-włościan, którzy przy pomocy banku nabyli ziemię, dosięga 24,788, w tem osób płci męskiej 88,669, co stanowi 2,6% ogólnej ludności męskiej kraju. Przeciętna cena dzies. ziemi wynosiła 21 rs. za dzies., *maximum* wypada na gub. Kowieńską 77—87 rs., *minimum* na mińską (16—27 rs.). Każdy z gospodarzy nabył przeciętnie 10,4 dzies., na kupno których zaciągnął pożyczkę w banku w ilości 170,5 rs., zaś dopłacił z własnej kieszeni 57 rs. Większa część pożyczek 1,75% została zaciągnięta na 3 1/2; reszta na 2 1/2 lat. Dopłaty włościan w 89% wypadków zostały uiszczone z góry, reszta została rozłożoną na 3 lata (8%), i na 6 lat (3%). Każda rodzina włościańska, która przy pomocy banku nabyła ziemię, składa się z 4 osób przeciętnie. Zaznaczyliśmy wyżej, że pojedynczy włościanie zawarli zaledwie 192 umów z bankiem, podczas gdy spółki i gromady po 500 przeszło. Charakterystycznym jest, że w guberniach czysto białoruskich zawierano znacznie mniej stosunkowo umów przez pojedynczych włościan, niż w gub. litewskich, gdzie władanie gromadzkie ziemią prawie całkiem nie jest znane włościaninowi. Tak w gub. Kowieńskiej, pożyczki, wydane przez bank pojedynczym włościanom, wynoszą 60% ogólnej liczby pożyczek, w gub. witebskiej 36%, w wileńskiej—33%, w mińskiej—32%, w grodzieńskiej—20%, zaś w mohylewskiej—13%, a w smoleńskiej zaledwie 2%. Przy nabywaniu ziemi przy pomocy banku przez pojedynczych włościan cena gruntów była 7 razy większą, niż przy nabywaniu przez spółki lub gromady. Łatwo się to daje wytłumaczyć tem, że nabywając małe części, włościanie są zmuszeni płacić daleko drożej, niż przy nabywaniu i parcelowaniu większych folwarków, powtóre, nabywając dla parcelacji całe majątki, kupują zarazem wszelkie, nieodłączne od nich nieużytki, podczas, gdy nabywcy pojedynczy wybierają kawałki ziemi uprawnej.—W d. 21 maja r. b. odbędzie się w Wilnie ekspertyza koni wierzchowych i roboczych przez główny zarząd stadnin skarbowych. Wyścigi odbędą się w d. 19, 21 i 23 maja.—W okolicy m. Lebiedziewa, pow. wilejskiego, wydarzył się w tych dniach fakt doraźnej zemsty włościan nad koniokradać. Starowieśnik Paweł Kuszarow dał się we znaki chłopom okolicznym, okradając ich i rabując. Cierpliwość włościan, po dwóch latach bezowocnej z nim walki, wyczerpała się zupełnie: zabili więc go przy pierwszej sposobności.—Ze stosunków wiejskich pow. wilejskiego mamy na dziś jeszcze jeden fakt do zanotowania. W okolicach Mołodeczna mieszkał włościanin Sadkowski, który w ostatnich czasach zupełnie się rozpił, przepijał wszystko i był ciężarem dla rodziny. Przed paru tygodniami synowi Sadkowskiego, porozumiawszy się z matką, postanowili „usunąć” pijaka, co też najstarszy z synów, za pomocą topora, uskutecznił.

K. R.—ski.

Kowno. („Kor. „Głosu”). Odbiło się tu niedawno ogólne zgromadzenie towarzystwa opieki nad biednymi w Kownie. Z odczytanego na posiedzeniu sprawozdania widzimy, że w r. z. udzieliło wsparć 304 osobom, a mianowicie: 170 katolikom, 74 żydom, 47 prawosławnym, 12 ewangelikom i jednemu mahometaninowi. Ogółem wydano wsparć na sumę 2,359 rs.: z sumy tej katolicy otrzymali 1,130 rs., żydzi 557, prawosławni 528, ewangelicy 149. Do składu tow. w r. z. należało 186 członków, w tem: katolików 57 (księży 19), żydów 66, prawosławnych 51 i ewangelików 12.—Tutejsi właściciele domów, przeważnie żydzi, dla uniknięcia opłaty większych na rzecz miasta podatków, urządzają się bardzo „sprytnie”. Oto wnoszą zwykle naprzód małe domki, od których, rzecz prosta, podatek jest bardzo nieznaczny. Następnie dopiero dobudowują piętą, skrzy-

dła, oficyny i t. d., nie wciągają tego jednak do ogólnego szacunku nieruchomości i wciąż opłacają podatek od małego domostwa. Rząd gubernijalny zwrócił już uwagę na tych pomysłowych obywateli kowieńskich.—Fortepianista Józef Śliwiński zamierzał tu wystąpić z koncertem, ponieważ jednak doohód ze sprzedaży biletów wyniósł aż 18 rs., koncert został odwołany i p. J. udał się szukać szczęścia i pieniędzy do Wilna. A. Kr.

Witebsk. (Kor. „Głosu”). Niesłychanej wrzawy narobiła tu sprawa 9 żydów, oskarżonych o nieznaną u nas dotąd przestępstwo i zabójstwo, w celu otrzymania premii asekuracyjnej. Treść tej sprawy w kilku słowach jest następująca: szajka żydów-oszustów jednego spośród siebie, mianowicie Zalmana Szejna, ubezpieczyła na życie w tow. „Zurych” na 20000 rs.: i w tow. „New York” na 30,000 rs. w złocie, pod nazwiskiem Abramowicza. Następnie główni uczestnicy przestępstwa: Berg, Fiszlerman, rabin Szalst i inni zdobyli potrzebne dokumenty, stwierdzające tożsamość osoby Abramowicza, zamordowali w Witebsku jakiegoś żydka, przypominającego swą powierzchownością Szejna i zaopatrzyli trupa w dokumenty rzezone. Pozostawało więc już tylko zdobyć akt zejścia rzekomego Abramowicza, dla przedstawienia go agentom tow. ubezpieczenia i otrzymaniu premii, co by przyszło tym łatwiej, że obie polisy, przez t. z. Abramowicza były notaryjalnie cedowane na rzecz Berga. Tu się jednak powzięła zbrodnia: rzekomemu nogą i plan ich wyszedł na jaw. Olbrzymi proces Berga et com. zakończył się skazaniem winowajców na ciężkie roboty 4—9 letnie. *Osw...*

Kijów. (Kor. „Głosu”). W dniu 6 marca odbyło się posiedzenie kijowskiego towarzystwa rolniczego. Ze sprawozdania za rok 1889 okazało się, że zaległe składki członków wynoszą poważną sumę 5 tysięcy rubli. Między innymi p. Jełowicki odczytał referat o konieczności racjonalnego zorganizowania wywozu naszej pszenicy do Francji, a p. Makowiecki o środkach zmniejszenia kosztów produkcji rolniczej. Ten ostatni zwrócił uwagę na niezbędną: 1) obowiązkowego ubezpieczenia budynków oraz produktów rolniczych; 2) zmniejszenia taryf przewozowych dla zboża i maszyn rolniczych w połączeniu z ustanowieniem odpowiedzialności zarządów kolejowych za zniszczenie takowych i 3) zniesienia, lub przynajmniej zmniejszenia celi, wnoszonych za worki.—Kontrakty tegoroczne ciche są i mało ożywione. Konferencje cukrowników już odbyły się, a rezultaty okazały się nader miernymi. Największą dywidendę bo 25% dała fabryka Strogonowska; fabryka Berszada—24%, Spiczyniecka—20%, Kijowska rafineria i Halnik—20%, Honorowicka—18%, Romanowiecka i Grodecka—15%, inne mniejsze fabryki dały od 6—8%.—W grudniu zeszłego roku kijowski bank ziemski wystawił 67 majątków, obejmujących 90,613 dziesięcin ziemi na sprzedaż publiczną za raty zaległe pożyczek długoterminowych. Obowiązkowe raty półroczne wynoszą 33,624 rs. zaległości 69,008 rs.—Ojcowie miasta Humania na posiedzeniu *dumy* postanowili cofnąć zapomogę dla dwuklasowej szkoły miejskiej, motywując swój wyrok szczupłymi środkami dochodów miejskich. Na nieszczęście kijowski gubernialny zarząd spraw miejskich wyrok powyższy uchylił na zasadzie, że skoro miasto raz na siebie przyjęło utrzymywanie zakładu naukowego, to uchylić się od tego nie może bez decyzji odpowiednich wyższych władz rządowych.

Semen Iwca.

Petersburg. Kwestyja pomocy drobnemu (kustarnemu) przemysłowi zawsze jest na porządku dziennym. Rząd, jak wiadomo, asygnuje na ten cel 300,000 rs. rocznie i urządza inspektorat dla tego przemysłu. Inspektorowie będą tu mieli w części znaczenie technicznych przewodników i nauczycieli, w rodzaju istniejących we Francji i niektórych guberniach ruskich nauczycieli rolnictwa. Znany uczyony, prof. Isajew podjął kwestyję umiejętnego wyzyskania drobnej sumy, przez rząd wyznaczonej. Sądzi on, że najwłaściwszem byłoby zajęcie się tymczasowo jedną tylko gałęzią przemysłu, mianowicie przemysłem obrabiającym drzewo (stolarstwo i tokarstwo). Jest to po pierwsze przemysł najbardziej rozpowszechniony, po drugie zaś zachował on najlepiej cechę przemysłu domowego, gdy tymczasem „kustary” w innych gałęziach w znacznej części stali się już najmitami, wyzyskiwanymi przez kapitalistów.—Towarzystwo wolno-ekonomiczne zamierza zbadać t. zw. malcewski okręg przemysłowy. Ludność tamtejsza po zamknięciu fabryk znajduje się w okropnej nędzy. Towarzystwo ma zbadać, o ile miejscowe warunki pozwalają na utworzenie stowarzyszeń (arteli) wytwórczych, które, jakoś to przed kilku tygodniami pisali, zaczynają powstawać tu samodzielnie.—Powszechną uwagę budzi też kryzys tytoniowy, o którym dochodzą wieści z gubernii małoruskich, południowych. Uprawa tytoniu przyjęła obecnie tak szerokie rozmiary, iż zbyt jego staje się coraz trudniejszym. Plantatorowie gub. połtawskiej uskarżają się na to, że zmowa fabrykantów nie pozwala im sprzedawać tytoniu drożej nad 85 kop. za pud, gdy tymczasem produkcja puda kosztuje ich samych

rs. 1 kop. 25. Ministerjum zamierza podobno wydawać pożyczki na zastaw tytoniu.—Towarzystwo opieki nad biednymi i choremi dziećmi zamierza urządzić w r. b. wszechruską wystawę wyrobów kobiecych.—Z inicjatywy p. ministra dóbr państwa p. Ostrowskiego korespondencja brata jego, znanego dramaturga, ma być w zupełności wydana. Kierownictwo objął p. Morozow.—Jeden z najruchliwszych homeopatów tutejszych, dr. Brawl miał odczyt o stanowisku homeopatii wśród nauk doświadczalnych. Po odczycie miała nastąpić dysputa, która jednak nie doszła do skutku z powodu, że nikt z obecnych lekarzy-allopatów z opozycją nie wystąpił.—Na ostatnim zjeździe przyrodników prof. Bogdanów wniósł projekt zawiązania wszechruskiego stowarzyszenia naukowego na wzór podobnych instytucji angielskich i francuskich. Obecnie inicjator ma już na pierwsze potrzeby stowarzyszenia kilka tysięcy rubli i zajęty jest opracowaniem szczegółowej ustawy. Stowarzyszenie ma być związane z moskiewskim towarzystwem przyjaciół przyrodoznictwa, antropologii i etnografii.—Prof. Solowjew umieścił w *Nowostiach* list, w którym powiada, iż dowiedział się z gazet o odczytach jeromonacha Antonijusza „o wyższości prawosławnego chrześcijaństwa nad papistyczną doktryną W. Solowjewa.” P. S. protestuje przeciw wykluczeniu go przez prelegenta z kościoła prawosławnego i powiada, że doktryny jego nie można sądzić z wyrwanych ustępów dzieł, ruskiej publiczności nie znanych.

Z ZAGRANICY.

Poznań. („Kor. „Głosu”). Ze sprawozdania komisji kolonizacyjnej dowiadujemy się, że w roku ubiegłym zakupiła ona 4,838 hektarów, 89 akrów t. j. znacznie mniej, niż w latach poprzednich, za 4.293,309 marek sprzedano zaś kolonistom 191 osad, obszaru 3,428 hektarów, za 2.079,110 marek. Oprócz tego co do 40 kolonij zawarto już umowę przedwstępną. Na 16 rozkolonizowanych majątkach mieszka w 356 kolonijach 310 rodzin rolników i 46 rzemieślników, zajmujących się jednak gospodarstwem.—Dzienniki pomieszczają jeszcze echa ostatnich wyborów. W Bydgoszczy, przy wyborach dodatkowych, jak się okazało, socjaliści głosowali prawie wszyscy na kandydata polskiego, wolnomyślni—na rządowego.—W r. z. sprzedano przez licytację w Księstwie 21 większych majątków i 200 gospodarstw, w tem polskich 19 majątków i 73 gospodarstwa na 2 majątki i 127 gospodarstw niemieckich. Nabyli polacy 1 majątek i 101 gospodarstw, Niemcy 20 majątków i 99 gospodarstw. W Prusach Zachodnich sprzedano przez licytację 29 majątków i 362 gospodarstwa, w tem polskich 3 majątki i 136 gospodarstw, nabyli zaś polacy 1 majątek i 104 gospodarstwa, Niemcy 28 i 258. Oprócz tego sprzedano z wolnej ręki w Poznańskiem 58 majątków: polskich 23, niemieckich—35; nabyli polacy 19, Niemcy—39; w Prusach Zachodnich 53 majątki: 11 polskich, 42 niemieckie; polacy nabyli 12, Niemcy—41.—W ubiegłym roku wyemigrowało za granicę z Poznańskiego—10,310 osób, z Prus Zachodnich—10,038, Wschodnich—2,041, Szląska—1,905... Utworzono tu komitet ratunkowy dla galicyjan. *Wojcieszek.*

Kraków. (Kor. „Głosu”). Widmo „prób rozstroju” znowu zawisło nad naszym grodem. Tak przynajmniej zdawać się musiało krakowskiemu „stróżom bezpieczeństwa publicznego”, kiedy kilka dni temu urządzili formalną obławę na redaktorów „Ogniska”, które, jak to zapowiadaliśmy, poddało w ostatnim numerze krytyce wyrok senatu, obok opisu przyczyny smutnych zajęć studenckich. Kraków przybrał na chwilę charakter miasta w stanie wyjątkowym. Gdzie okiem rzucisz—komisarz policji w towarzystwie kilku „attaché” weszła „konspiracyje” w łonie młodzieży, szukają tych, którzy podobno ukryli numery „Ogniska” zarządzają rewizyje dzienne i noce u kilkunastu Bogu ducha winnych studentów. Wreszcie duszę „Ogniska” w osobie ak. Gabryjela Górskiego przydybano na ulicy. Po nitce doszła policja do kłębka, ukochane a tak przez wszystkich poszukiwane dziecię—„Ognisko” znalazło się gdzieś na... mamkach, odstawiono je prędko od piersi i oddano głównemu opiekunowi-prukuratorowi, który uznał, że pupil jego, choć młody, ma w sobie niebezpieczne zarodki, „mogące zagrażać całości państwa i wyrządzić krzywdę biednemu galicyjskiemu społeczeństwu.” Pukurator... locutus est i „Ognisko” nie ujrzało więcej światła dziennego. W ten sposób zażegnano burzę w szklance wody, przyaresztowanych studentów puszczono na wolność, jedynie p. Wilhelma Feldmana znanego nowelistę, oskarżonego nie tylko o ojcostwo „Żydziaka” i „Żydówki”, lecz także kilka artykułów w „Ognisku” uznano policja winnym zbrodni i zasądziła na zapłacenie alimentów, względnie zaś na karę aresztu. Na tem dziejopis zajęć ubiegłego tygodnia musi złamać swe pióro. Z gruntu policyjnego przechodzę na obywatelski. Utworzony tu komitet ratunkowy postanowił działać samodzielnie i w tym celu ogłosił w miejscowych dziennikach apostrofy do serc czytelników, przedstawiając im, jak strasz-

nem jest obecnie położenie głodnych włościan, jak konieczną prędką i energiczną pomoc. W dalszej konsekwencji administracyjnej trzech pism oświadczyły gotowość zbierania składek, które, pomimo publikowania nazwisk ofiarodawców, płyną niesłychanie skąpo. Płec piąkną podzieliła się w akcyi ratunkowej na dwa obozy: jeden afrykańsko-murzyński składa datki i ofiary w naturze na rzecz męczenników zanzibarskich, drugi, bardziej wrażliwy na nędzę miejscową, projektuje urządzenie szeregu „koncertów przechadzkowych” (sic). Jednocześnie głośny dobroczyńca i twórca kultu afrykańskiego ks. Załęski Societatis Jesu zaprasza na „poważne” konforencyje rekolekcyjne tych wszystkich, „którym religijno-moralne dobro własne i ludzkości leży na sercu.” Jeden ze złośliwych twierdzi, że autor „Zanaidy, córki niewolnika” wybiera się do Afryki, gdzie pod jego przewodnictwem (a na zaproszenie Hujoty) odbył się mają konferencje na temat gorliwszej akcyi ratunkowej dla nieszczęśliwych murzynów. — Wczoraj odbyło się tu otwarcie pierwszej szkoły dla sług (płci żeńskiej), fundowanej przez wydział krakowski Towarzystwa oświaty ludowej. Kierownictwo uczelni objął p. Juliusz Maciódowski. — Z szeregu odczytów, zapowiedzianych podczas postu (na bibliotekę uczniów prawa i kolonije wakacyjne) większe zainteresowanie budzą d-ra: Krzymuskiego: „Hypnotyzm wobec prawa karnego” i Maryi Konopnickiej: „O Mickiewiczowskiej odzie do młodości” — Świat literacko-dziennikarski żywo śledził pol-mikę „N. Reformy” z Bol. Wysłouchem w sprawie wydawnictwa „Przyjaciela ludu”, na którego zasadnicze poglądy „Reforma” się absolutnie nie zgadza, w ostatnich zaś dniach dużo rozprawiano o artykule „N. Reformy”, wymierzonym przeciw p. Er. Breiterowi, młodemu historykowi, z powodu, iż tenże umieścił w „Kuryerze lwowskim” względnie pochlebna ocenę „Historji Polski” Bogusławskiego. *Voz.*

P. S. Werdykt przysięgłych w procesie wadowickim zrobił tu silne wrażenie.

Lwów. (Kor. „Głosu”). Wieści, nadchodzące z Wiednia, dreszczem przejmują stańczyków. Większość klerykała, która dotąd solidarnie głosowała za każdym projektem rządowym, obecnie zerwała sojusz ze stańczykami, zbuntowała się przeciw rządowi za niepopieranie jej interesów szkolnych (czytaj szkoły wyznaniowej w myśl Lichtenstejna) i wręcz oświadczyła się przeciw przedłożeniu indemnizacyjnej zgody między państwem a Galicyą, o czem obszerniej w poprzednim liście pisałem. Wobec takiego przesilenia parlamentarnego projekt indemnizacji nie przedstawiający skądinąd żadnych dla kraju korzyści, niema absolutnie szans przejścia w obecnej kadencji i najniezawodniej na jesieni ponownie do parlamentu wniesiony zostanie. Zbytecznym byłoby dodawać, że na temat powyższy snują dzienniki wiedeńskie i krajowe najrozmaitsze kombinacje. Z klerykałami połączyć się miał klub Hohenwarta, a Koło polskie i klub czeski szukają podobno kompromisu z niezawistną obu frakcyjom lewicą niemiecką. — Ukazał się tu pierwszy numer nowego dwutygodnika społeczno-polityczno-ekonomicznego p. t.: „Robotnik”. Na czele redakcyi stoi p. Antoni Mańkowski. „Robotnik” poruszać zamierza kwestyje: ustalenia czasu roboczego, powszechnego głosowania, obecności robotników w oświadczeniach parlamentarnych, wolności słowa, stowarzyszeń i t. d. Okazowy numer nie pozwala nam jeszcze wyrokować o wartości pisma, choć nazwisko redaktora daje rękojmię, iż „Robotnik” stanie na wysokości swego zadania. — Znany pracownik na polu oświaty ludowej w Galicyi ks. St. Stojalowski z Kufikowa wydał tu broszurę, w mierzoną przeciw arcybiskupowi Morawskiemu, w sprawie niesłusznego przesładowania prałata, który jest solą w oku naszych stańczyków i duchowieństwa. Słyszałem, że książka Stojalowskiego wywołała silną konsternację w pałacu arcybiskupim, a przedstawiciele kościoła poczuli się aż do obowiązku wyrażenia głębokiego współczucia arc. Morawskiemu, z racyi „niesprawiedliwych ataków”. Z broszurą tą zapoznał niebawem czytelników „Głosu”. — Krążą tu pogłoski, że Koźmian, główny redaktor „Czasu” i dusza stańczyków opuszcza swe stanowisko dla pewnej czarnookiej amerykanki, z którą udaje się do... Grecyi. *Nullus.*

Wadowice. („Kor. Głosu”). Werdykt przysięgłych jest żywą ilustracją zdania, jakie już niejednokrotnie w naszych korespondencyjach mieliśmy sposobność wyrazić, a mianowicie, że sędziowie wybrani z pośród ludu nie dadzą się wziąć na lep wywodów obrony, choćby one były najwymowniejsze. Oni bowiem nie przyplatają do sprawy kwestyi społeczno-ekonomicznych, nie wchodzą w to, czy emigracja wśród obecnych warunków jest dla naszego ludu klęską ekonomiczną, czy też koniecznym złem, lecz orzekają na podstawie faktów o winie podsądnych słowem wyrokują o nich jako o zbrodniarzach, którzy się dopuścili nadużyć i oszustw, a nie o pionierach cywilizacji zamorskiej, ofiarach gorączki emigracyjnej. Temu należy przypisać, że na 61 oskarżonych w procesie wadowickim — aż trzydziestu (w tej liczbie 18 żydów) potępił wer-

dykt przysięgłych, Klauzner, Herc, Löwenberg, Landeret główni „maladorzy” emigracyi (piąty Landau uwolniony) uznani zostali winnymi zbrodni oszustwa (powyżej 300 zł. r.), gwałtu publicznego, ograniczenia wolności osobistej, uwodzenia żołnierzy do dezercyi i t. d. Czekają ich za to kara ciężkiego więzienia od lat 5 do 10. Przypuszczają ogólnie, że trybunał uwzględni 1 1/2 roczne więzienie skazanych, wobec czego wymiar kary może być o wiele łagodniejszy. Jedno tylko moglibyśmy zarzucić werdyktowi. Ot, uogólnia on za nadto winę oskarżonych, zasądzając głównych hersztów bandy, którzy żyli z wyzysku biednego włościanina niemal w takimże stopniu, jak najemników agencyjnych — owe bierne narzędzia w ręku królów emigracyjnych, działających pod gorliwą opieką władz rządowych i autonomicznych. Winowajcy ci, przeważnie robotnicy, przykładali bezwiednie rękę do obhydzenia handlu ludźmi, byli na żołdzie c. k. koncesjonowanej agencyi, która, choćby dla samej firmy, musiała budzić ufność w prostakach. Zresztą cała ich wina polega na tem, iż wychodźców sprowadzali do kancelaryi agencyjnej, że ich do kupna biletów okrętowych namawiali, w tem zaś wielkiej zbrodni dopatrzeć się nie można, zwłaszcza, że najemnicy w ten sposób wykonywali jedynie zlecenia swych szefów. Niesłusznym więc napiętnowano kilkunastu ludzi, którzy sami są również ofiarami machinacyi, spółki handlarzy. Ciekawymy, jak sobie obecnie postąpi prokurator wadowicki z „wyższymi” dygnitarzami, motorami procedury oświecenijskiej. Jeśli proces wadowicki ma mieć to znaczenie przyszłości, jakie mu przypisał w swej mowie oskarżyciel publiczny t. j. paryfikacyjny, w takim razie winien p. Ogniewski bez względu na zabiegi koteryjne oczyścić administracyję galicyjską z takich panów Födrichów, Srokowskich et consortes, posadzić ich w imię sprawiedliwości na ławie oskarżonych obok agentów których ci „dostojnicy” dla zysków papierali — inaczej bowiem rozprawa wadowicka nie będzie uwiecznioną poważniejszym rezultatem, a prędko znajdą się epigonowie bezkarnie puszczonych starostów i naczelników. Na zmniejszenie się ruchu emigracyjnego sprawa ta bynajmniej nie wpłynie, a kto ludzi się podobną fantasmagoryją — ten zdradza absolutną nieznaną społecznych i ekonomicznych stosunków kraju. Fali emigracyjnej nie powstrzyma żaden prokurator.

J. Kucharski.

P. S. Wyrok trybunału jest wcale łagodny, z głównych hersztów Löwenberg i Landerer skazani na 4 1/2. Herz — na 4. Klauzner, Neuman — na 3 lata więzienia. Inni na 2. 1 1/2 i rok a nawet 6 i 3 miesiące tylko więzienia; dwunastu naganiaczy na areszt od 1 do 6 tygodni. Prokurator, z powodu zbyt łagodnego wyroku, odwołuje się do wyższej instancyi.

— Kronika słowiańska. Czeskie stowarzyszenie polityczne w Opawie wystosowało do klubu czeskiego w radzie państwa petycję, żądającą uwzględnienia potrzeb narodowych ludności czeskiej na Ślązku. — Poseł staroczeski Adamek otrzymał petycję 4,310 kobiet czeskich, proszących o dopuszczenie kobiet do studyjów uniwersyteckich w Austrii. — Wice-protektorem świeżo utworzonej czeskiej akademii umiejętności mianowany został marszałek krajowy ks. Jerzy Lobkowicz. — *Narodnim listom*, wzbroniono sprzedaży pojedynczych numerów.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Ostatnie wybory niemieckie i stworzona przez nie sytuacja polityczna dotąd są głównym zajęciem prasy. Wiążą się z tem ściśle uporczywe pogłoski o nieporozumieniach między cesarzem Wilhelmem, a ks. Bismarkiem, które zakończą się, jak utrzymują, ustąpieniem tego ostatniego. Jednocześnie cesarz życzy scentralizowaną dotąd w ręku kancelarja władzę podzielić między kilku ministrów, życzenie to bardzo naturalne i konieczne nawet, wymaga jednak zmiany konstytucyi, przedstawia więc wiele trudności. Zwróciła powszechną uwagę mowa cesarza na oświadczeniu członków sejmiku brandenburskiego. Oprócz zwykłych pochwał dla prowincyi, cesarz chwalił swój zwyczaj podróży, zakończył zaś słowami: „wszystkich, co zechcą mi dopomóc, powitam radośnie, tych zaś, którzy mi się będą sprzeciwiać, zdruzgoczę”. Dzienniki rozmaicie tłomaczą te słowa, jedne upatrują w nich przestrożę dla niechętnego projektem cesarskim mieszczafstwa, inne znowu pogróżkę dla socyalistów. Ci ostatni jednak w tej chwili najmniej zasługują na to, wszyscy bowiem przywódcy ich wyrażają się we wszystkich przemówieniach z wielkim uznaniem o cesarzu. Wrzenie jednak wśród robotników nie ustaje, a nawet zwiększa się. Niedawno górnicy westfalscy np. postanowili żądać od rządu upaństwowienia wszystkich kopalni prywatnych.

Wypracowanie prawodawstwa robotniczego na podstawie uchwał rady stanu poruczono min. handlu Berlepschowi. Ogłoszono też ustawę o „wydziałach robotniczych”

w kopalniach rządowych w Saarbrücken. Będą to instytucyje, czuwające nad wypełnianiem przepisów, nad usunięciem nieporozumień i t. d. Członkowie wybierani są przez wszystkich pełnoletnich robotników, pracujących przynajmniej 3 lata w kopalniach.

Gabinet francuzki świecił niedawno niespodziewany tryumf. Bulanżyści agitowali przeciw udziałowi Francyi w konferencyi berlińskiej. Laur wystąpił z interpelacją, wspominając Alzacyję, i wytykając nieobecność Niemiec na wystawie. Spuller bronił się z zapalem i oświadczył, że republikańska Francya przedstawi monarchiczniej Europie swe poglądy na sprawiedliwość i inne wzniosłe rzeczy. Co najkomiczniej, że jednocześnie odczytał p. Spuller tekst odpowiedzi, w której żąda wykluczenia z obrad sprawy ograniczenia dnia roboczego dla dorosłych. Socyalista Boyer bronił udziału Francyi na konferencyi, Cassagnac zaś oświadczył, że w sprawach zewnętrznych nie ma opozycyi. Porządek dzienny, wymagany przez gabinet, przyjęty został 480 gł. przeciw 4.

W monarchii habsburskiej na porządku dziennym stoją przesilenia gabinetowe. Najważniejszem jest ustąpienie Tiszy. Obiecał on opozycyi zmianę prawa o obywatelstwie węgierskim w tym sensie, że Kossuth nie traciłby praw obywatelstwa. Tymczasem koledzy Tiszy nie zgodzili się na to i związany słowem Tisza podał się do dymisyi. Miejsce jego zastąpi hr. Szapary, należący do tego samego stronnictwa.

W Austrii rozpoczyna się na dobre przesładowanie młodoczechów. *Narodnim listom* wzbroniono sprzedaż oddzielnych numerów. Studenci prasy urządzili kilka demonstracyj profesorom staroczeskim, policya rozpedzała ich przytem z zaickością. Czesi ze Ślązka podali protest przeciw zgodzie, wyluszczając wszystkie niesprawiedliwości, jakim podlega ludność słowiańska na Ślązku.

Gabinet lorda Salisbury’ego wysłuchać musiał wiele nieprzyjemnych rzeczy z powodu zaproponowanej przez się pochwały dla bezstronności sędziów, rozpatrujących sprawę Parnella i „Times’a”. Gladstone żądał dodania ustępu, wyrażającego radość z powodu oczyszczenia członków izby z ciężkich zarzutów i potępienia oskarżycieli, opierających się na sfałszowanych dokumentach. Russel przy tej okazji surowo potępił zachowanie się w tej sprawie rządu i stronnictwa konserwatywnego. Ostatecznie wniosek Gladstone’a został odrzucony, moralnie jednak gabinet wiele stracił.

Największy związek robotniczy w Szwajcaryi t. zw. *Grütliverein* postanowił nie brać udziału w projektowanym na dzień 1 maja powszechnym bezrobociu.

Robotnicy angielscy i belgijscy postanowili zwołać międzynarodowy kongres robotniczy do Jolimont na 20 maja.

Parnell wniósł bill, na zasadzie którego sądy rozjemcze w Irlandyi miałyby prawo powstrzymać eksmisyje farmerów i zmniejszyć, lub umorzyć zaległości.

KRONIKA LITERACKA.

Drugi zjazd prawników i ekonomistów polskich i jego znaczenie. Napisał *Adolf Suligowski*. Warszawa. Skład gł. w księg. Gebethnera i Wolffa. 1890.

Broszurka zawiera wiadomości o pracach sekcyi prawniczej i ekonomicznej, odczytanych na zeszlorocznym zjeździe we Lwowie, podaje spis uczestników zjazdu, oraz prostuje niektóre sądy czasopism. Napisana zwięzle i jasno, z pewnym zacięciem polemicznym, daje dokładne pojęcie o treści rozpraw.

O metodzie *J. H. Taine’a*. Z francuzkiego przeł. *L. Grendyszyński*. Z przedmową *A. Mahrburga*. Petersburg, 1890.

Polityka p. *Pawła Janet’a*. Petersburg, r. 1890. Obie te broszurki wyszły jako tomy I i II seryi II. Wydawnictwa imienia T. T. Jeża, noszącej tytuł: „Zagadnienia naukowe”. Nie powiemy, aby wydawanie broszurek w owym wydawnictwie było trafnym pomysłem, nie powiemy nawet, aby się to zgadzało z zamiarami i intencyjami założycieli owego wydawnictwa. Co gorsza kierownicy wydawnictwa pod postacią broszurek wydają „rozdziały” oddzielne prac większych, czego już wcale pochwalić nie można. Dziełko „O metodzie” Taine’a daje przynajmniej ogólny zarys pojęć znanego uczonego, natomiast broszurka, nosząca wiele obiecującej tytuł „Polityki” jest tylko przedstawieniem części poglądów *Tocqueville’a* na te niedołążnie przedstawionych stosunków społecznych. Wydawanie takich nędzot jest wprost marnowaniem pieniędzy i wcale nieszczególnie świadczy o obecnych kierownikach wydawnictwa.

Rybak, czyli zmartwychwstałi filozofowie p. *Lucyjana z Samosaty*. Z oryg. greckiego przeł.

